

SEJNEŃSKA

KSIĘGA BAŚNI



Birutė Jonuškaitė

Smaczny sen Piegusa albo
jak powstał Sękacz | 5

Małgorzata Sporek-Czyżewska

Mój Brat Kos | 26

Agata Tuszyńska

Baśń Lenki | 44

Małgorzata Sporek-Czyżewska

Jagiena | 67

Agata Tuszyńska

Baśń Zosieńki | 83

Krzysztof Czyżewski

Śladem cygańskiego losu | 15

Janina Osewska

O dziewczynce Krasnogrudzie i gorącym
kamieniu | 38

Birutė Jonuškaitė

Wilcze stopy albo jak powstało
Wiłkopedzie | 53

Janina Osewska

O dobrej Sejnie i złej Marysze | 77

Krzysztof Czyżewski

Piastunka Dobrej Pamięci | 92

Birutė Jonuškaitė

Smaczny sen Piegusa albo jak powstał Sękacz

Współpraca:

Igor Nieszczerzewski i Maciej Faszczewski

Nad rzeką Marychą, tuż przy drewnianym mosteczku, który zdążył już porośnąć mchem, zagnieżdziła się rodzina kaczka. Z tego gniazda dobrze było widać domek z gankiem i całe podwórko, i nawet wieże kościoła, który dumnie witał mieszkańców i gości miasteczka. Takich przytulnych domków na przedmieściu Sejn było wiele. W tym najbliższym, przy mostku, mieszkała mała dziewczynka Rasa ze swoimi rodzicami.

Pewnego słonecznego dnia kaczka zniosła jajko. Ciepło i przytulnie mu było w gnieździe aż do momentu, kiedy czyjeś rączki dotknęły go na słomianej pościeli.

– Vaje, koks Strздanius! (O rety, jaki Piegus!) – usłyszało jajko cieniutki wesoły głos. – Choć, pokażę cię Mamie.

No i zaczęło się. Od nagłego chwytu jego żółte serce tak zaczęło mocno bić, że już myślało – nie wytrzyma i pęknie. Zaszumiał wiatr w uszach jaja, bo leciał w rękę przez całe podwórko, na którym leniwie między sobą gawędziły gęsi, po kałużach człapały kaczki i bulgotały na jakiejś ważnej naradzie zebrane indyki.

– Ja lecę, ja lecę! – ledwo łapiąc oddech, chciało pochwalić się im jajo, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Może nie słyszeli jego wątłego głosu, a może byli zbyt zajęci swoimi sprawami. Tylko na płocie stojący kogut spojrzął z wysoka:

– Ano, leć, leć, prosto do garnka, bo już nic z ciebie nie wykluje się.

– Mamo, spójrz, jakiego Piegusa znalazłam w gnieździe naszej kaczki Czubatki!

– O jak dobrze, Rasieńko! Akurat mi jednego brakowało. Policz ile tu ich mamy. Powinno być 40.

– Po co ci tak dużo jaj, mamusiu? – spytała Rasa.

– Mam bardzo stary przepis na ciasto, który zostawiła mi moja babcia, a twoja prababcia, a ona dostała go od swojej mamy. Kiedyś, gdy byłam mała, piekłyśmy razem, ale po śmierci babci nigdy sama nie próbowałam tego robić. Jutro są twoje szóste urodziny, więc spróbuję wypiec.

Rasa z płaskiego koszyczka zaczęła wyjmować jaja – białe i brązowe, bo takich najwięcej kur chodziło po ich podwórku i obmywała je wodą.

– Brrr... nie lubię kąpieli! Ja i tak jestem czyste! A mnie tak pasowało to piórko nad uchem! – parskały niezadowolone jaja.

– A moich kropek żadna woda nie zmyje! – cieszył się Piegus.

– Vienas, du, trys, keturi, penki, šeši... (Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...) – Rasa kładła na stole osuszone jajka kur w długi szereg. Na koniec ostrożnie położyła o wiele większego Piegusa i triumfalnie wykrzyknęła:

– Czterdzieści!

– Wspaniale, Rasieńko! Nie zrobiłaś ani jednego błędu. – Uśmiechnęła się mama.

– Ja umiem i do stu policzyć! A co dalej robimy?

– Poszukamy naczynia.



Mama wyciągnęła z szafki dużą miskę.

– A teraz cały kilogram Masła utrzemy z kilogramem Cukru. Trzeba będzie dobrze popracować, aby z nich powstała gęsta Masa.

I mama zaczęła ucierać.

Tymczasem jaja na obrusie szturchały jedno drugie:

– Ej, ty Piąty, posuń się trochę, bo przez ciebie nie widzę horyzontu – wypychało się na przód Czwarte.

– Dwadzieścia Trzecie, ty jesteś brązowe, nie przytulaj się do mnie, ja wolę być przy białym – kaprysiło Dwudzieste Czwarte.

– Ej ty, Piętnasty, co się tak uwypuklasz?! Wciągnij ten swój wielki brzuch! – Pokrzykiwało Szesnaste.

– Ja nie będę leżał obok Piegusa! On jest Inny! Gruby! On nie z naszego Kurnika! – Piszczowało Trzydzieści Dziewiąte.

– Ale ja jestem na samej czołówce! – Radośnie krzyknął Piegus.

– Jaka znowu czołówka?! Ty jesteś ostatni! – jeszcze bardziej oburzyło się Trzydzieste Dziewiąte.

– Nie, ja jestem pierwszy. Nikt nic mi nie zasłania: widzę obrus w czerwone kwiatki, i cukiernicę, i łyżkę, i kubeczek, a jeszcze dalej stoją krzesła, i wiszą obrazy.

– Pierwszy i głowę stracisz... – ziewnął stary Miód w słoiczku. Stał tu już kilka lat. Nikt nie dodawał go ani do herbaty, ani nie jadł z ogórkiem, wszyscy byli na dietach, więc nasłuchiwał się i napatrzył wszystkiego...

– Ja nie mam głowy, tylko czubek – zachichotał Piegus.

– Ach, ta młoda gorąca krew... żadna metafora do nich nie dotrze – westchnął Miód zapadając znowu w drzemkę.

– Co? Co? Co? Tylko nie kamfora! Nie chcemy mieć z nią nic wspólnego! Nie, nie, nie! Ona okropnie śmierdzi i wżera się! – podskoczyły Kostki Cukru w kuchni, ale Miód nie raczył ich uspakajać, nie lubił bladych konkurentek i prędko znowu zapadł w sen. A Piegus radował się dalej:

– Jak tu przestrzennie! Spójrzcie na te piękne talerze!

– Gdzie, co? Ja leżę na lewym boku, nic nie widzę, tylko jakieś grudki na obrusie, no, posuńcie się trochę, bo ich zapach taki ostry, że się zaduszę! – starał się obrócić Siedemnasty.

– Jak śmiesz tak mówić!? Ty obrażasz moją wonną delikatną duszę! – Rozległ się cieniutki pisk. – Ja jestem madam Wanilia! Ja słodko pachnę!

– A ja się boję. Bardzo się boję. Co teraz z nami będzie? – Pociągało nosem Ósme.

– Może trochę niewygodna, ale będzie nam przygoda! – zanucił Piegus w tym momencie, kiedy objęły go palce Mamy. Po chwili rozległo się chrupkie ciach i białko powędrowało do jednego, a żółtko chlupnęło do drugiego – ogromnego – naczynia. Skorupka poleciała do pojemnika z organicznymi odpadami.

– Widzisz, a jednak on był Pierwszy – chciał stuknąć Trzydziesty Ósmy Trzydziestego Dziewiątego, ale tamten już był w ręku Mamy. Ciach! Chlup! Ciach! Chlup! I tak jajka wędrowały do miski jedno po drugim.

– Co za barbarzyństwo! Połowa tu, połowa tam! Jak ja poradzę bez białka? – Pokrzykiwał jeden z nich.

– E tam, nie przejmujcie się, mam przecucie, że ta rozłąka nie na długo – starał się dodać otuchy Piegus.

– Jakie jeszcze przecucie? O co tu chodzi? – chlupnęło ostatnie żółtko.

– Udławimy się, udławimy się! – wołał Cukier z Masłem. – Cała żółta armia nas napadła!

Ale Mama nie słyszała ich krzyku, a gdyby i usłyszała, to by nie zrozumiała, bo nie umiała po jajczemu, więc energicznie zaczęła mieszać, tarła, starała się, aby powstała jednolita Masa. Żółtko Piegusa zawirowało i rozlało się.

– Ale karuzela! Ale frajda! Juhooo! Czy trafiliśmy do wesołego miasteczka?

Jajka popiskiwały, jęczały, krzyczały i dławiły się, płakały z utraty swojej owalnej formy, tylko jeden Piegus nurkował wśród grudek Cukru i nie widział w tym nic straszego.

– My przeistaczamy się! Przechodzimy w inny – piękniejszy – stan!

– A ja zawsze jestem atrakcyjna, najdostojniejsza ze wszystkich pań: moje fale białe, jak piana morska, jak... – rozległ się nowy głos, bo akurat do miski Mama wlewała cały litr białej substancji.

– Przepraszam, że Inna to widzę, ale kto ty właściwie jesteś? – Zapytał Piegus.

– Ja jestem Śmietana, pochodzę z bardzo starej szlacheckiej rodziny Mleka.

– A ja – Piegus. Jajko Czubatki.

– Nie widzę cię, ale całym ciałem czuję, że będziemy pasować do siebie, jesteście miły – rozlewała się wygodnie Śmietana, zatykając usta wszystkim, którzy tonęli w jej białych falach.

– Ja, na razie, mam tylko część ciała, jestem bez białka, ale mam nadzieję, że... – Piegus nie dokończył, bo z góry zaczęły padać malusieńkie białe grudki – to Mama przesiewała Mąkę – cały kilogram. Gdy w końcu skończyła się ta biała ulewa, obrażona Śmietana przetarła swe oczy, a jajka zaczęły kichać i wiercić się pod nią, aż Masło z Cukrem nie wytrzymało:

– Przestańcie żółtodzioby! Ani na chwilę nie dają spokoju!

– Jaki spokój?! Jaki spokój?! Chciałem być kogutem! A ja kurą! Wytarli moją żółtą duszę! Jakim prawem tak nas poniewierają? – Krzyczały jedno za drugim jajka.

– O prawach człowieka coś słyszałem na buraczanym polu, ale o prawach jaj – nie. A ty? – zwrócił się Cukier do Masła.

– Co mogę usłyszeć, gdy ciągle mnie biją po łbie? Tylko łomot został mi w uszach. – Westchnęło Masło.

Teraz już cała miska była pełna zgrzytów, jęków i stęków. Tylko Piegus nie tracił nadziei:

– Przestańcie stękać. Mam pomysł. Proszę się odprężyć i...

Ale w tym momencie wszystkim na głowę chlusnęło coś tak nieprzyjemnego i parzącego, że z bólu Śmietana skurczyła się, żółtka zbladły, a Cukier całkiem roztopił się.

– Podaj jeszcze jedną Cytrynę – powiedziała Mama do Rasy.

I znowu polał się kwaśny deszcz.

– Teraz dobrze wymieszamy wszystkie składniki i ciasto zaraz będzie gotowe. Brakuje nam jeszcze piany z białka, weź trzepak i możesz ubijać – mówiła Mama do Rasy.

Białka zapieniły się, a w misie aż się kotłowało – Mama tak energicznie mieszała, że już nie można było odróżnić, który to obrażony głos Śmietany, gdzie pokrzykują żółtka, a gdzie zgrzyta Cukier. Czasami tylko pobrzmiwało coś w rodzaju rewolucja czy ewolucja, nie jesteśmy składnikami czy niewolnikami, ale Mama nie zwracała na to uwagi, bo przecież miała jedyny cel – przygotować pulchną, jednolitą Masę biszkoptowo-maślaną. Gdy Rasa ubiła białka na białą sztywną pianę, Mama ostrożnie dodała ją do ciasta i delikatnie wymieszała.

– Wróciło, moje białko wróciło! – Krzyknęło Pierwsze żółtko. – I moje! I moje! – Rozległo się ze wszystkich stron.

– A co, mówiłem, że ta rozłąka nie na długo! – Dobry humor odzyskał i Piegus. – Powtarzam, przestańcie stękać. Mam pomysł. Proszę się odprężyć i...

I miska powędrowała w drugi kąt kuchni, tam, gdzie było o wiele cieplej. Piegus to poczuł od razu – wydawało mu się, że zaraz zapadnie w słodką drzemkę. Ale przedtem jeszcze chciał dopowiedzieć to, co zaczął. Aż nagle...

– Widzisz, Rasienku, aby upiec to ciasto, nie wystarczy tylko rozpalic ogień, ale musimy mieć i specjalny sprzęt. To urządzenie skonstruował mój dziadek: drewniany wałek, rozszerzający się z jednej strony umieścił na tych widełkach tak, by mógł się obracać, a tu przymocował koło od roweru z rączką, którą ty będziesz kręciła i wprowadzała wałek w ruch, a ja będę oblewała ten wałek ciastem. Aby ciasto nie przylepiło się, trzeba wałek okręcić papierem i posmarować masłem. Pod wałek podsuniemy szeroki pojemnik, aby polewane ciasto nie spadało na ziemię, bo ono nam jeszcze będzie potrzebne. Będzie to takie ciasto na rożnie, rozumiesz?

– Chyba tak... – odpowiedziała Rasa nie całkiem pewnie, bo nie miała pojęcia, jak te ciasto utrzyma się na rożnie.

– No cóż, spróbujemy? Zaczynamy. Kręć, tylko powolutku.

Rasa zaczęła kręcić, a mama oblewała wałek ciastem, które w pewnych miejscach krzepło i pozostało na wałku, ale sporo i leciało na dół do pojemnika. Mama łapała uciekiniera i znowu oblewała warstwę po warstwie...

– Piecze! Parzy! Rety, Jak gorąco! Palę się! Gine! Ratunku! Ratunku! – Podniosły się takie krzyki i wołanie o pomoc, że nawet Rasa zaniepokoiła się.

– Mamo, czy ci się nie wydają, że to ciasto na wałku jęczy i stęka?

– Stęka? Raczej upała się jak w słońcu. Będzie pulchne i smaczne.

Jęki jajek podnosiły się z miski, na wałku przechodziły w rozpaczliwy krzyk, a potem wydobywały się już tylko gorące ich oddechy.

– Szkoda, że nie umiemy po rasiemu, Rasa może by nas uratowała – rzekło Trzydzieste dziewiąte i wyzionęło ducha. Nawet Piegus nie mógł im dodać otuchy, bo podskakiwał w Masie od jednego brzegu miski do drugiego, starając się uniknąć wielkiej łyżki, którą Mama nabierała ciasto i polewała je na wałku. A gdy sam na nim zawisł, parząc się jeszcze zdążył powiedzieć:

– Przestańcie stękać, proszę się odprężyć i pomyśleć, że to tylko dziwny sen. Oto wyrastają nam słodkie ręce, a może nogi, długie nosy i grube włosy, nasz żółty kolor staje się jeszcze bardziej intensywnym żółtym a miejscami nawet brązowym, a potem...

Potem na rożnie zwisło rogate, piękne ciasto. Mama była zadowolona, obok niej stała nie mniej dumna ze swojej pracy Rasa.

– Jak nazwiemy to nasze ciasto? – Spytała Mama.

Ale odpowiedzi nie było, bo w tym momencie w progu stanął Tata.

– O, moje kochane, jaka niespodzianka! Widzę, że Rogacza upiekłyście! Po tylu latach! Twoja Prabacia, Rasieńko, bardzo by się ucieszyła, widząc, że jej przepis znowu jest komuś potrzebny.

– Bardzo starałam się wszystko robić tak, jak jest zapisane w jej przepisie – potwierdziła Mama. – Tylko nie wiemy, jak nazwać to ciasto.

– Po litewsku nazywają to ciasto Raguolis (Rogaczem), tak pewnie jest i w przepisie Prababci, ale jak go nazwać po polsku – nie wiem – powiedział tata.

– Po prababciemu – Roguolis, a po rasiemu możemy nazwać? – Zapytała Rasa.

– Ależ oczywiście! – Uśmiechnęli się rodzice.

– To może Stę kacz?

– Co ty, kochanie, takie ładne ciasto nazwać Stę kaczem? Nikt pewnie i jeść go by go nie chciał. – zaśmiała się Mama. – Ale podrzuciłaś mi inną myśl: może mógłby to być Sę kacz? Przecież tak dużo ma sęków!

– Całkiem fajna nazwa – zgodziła się Rasa.

Gdy ciasto ostygło i Mama zdjęła go ostrożnie z wałka, na stole stanęła żółto-brązowa wieża. Trochę krzywa, trochę podobna do wieży w Pizie, ale Rasa o Pizie jeszcze nic nie wiedziała, więc wzięła czerwony ołówek i na kartce papieru napisała krzywe literki: TO JEST SEN KACZ. Kartkę położyła obok ciasta.

Krzysztof Czyżewski

Śladem cygańskiego losu

Współpraca:

Patryk Jankowski i Iza Maksimowicz

Zdarzyło się to latem, w końcu lipca. Jakub i Wiktoria, od dzieciństwa zaprzyjaźnieni ze sobą, jak co roku wybrali się na wakacje do starego domu dziadków chłopaka. Babcia już nie żyła, natomiast dziadek mieszkał w domu spokojnej starości. W rodzinie uchodził on za szaleńca. Jakub go nie znał, gdyż rodzice zawsze starali się aby trzymał się z dala od niego. Młodzi byli świeżo upieczonymi maturzystami i były to ich ostatnie wakacje przed rozpoczęciem dorosłego życia. Żadne z nich nie wiedziało jednak co chce robić w życiu. Oboje bali się, że wpadną w wir kariery. Nie potrafili wyobrazić sobie siebie krążących tylko wokół zarabiania pieniędzy. Pragnęli czegoś więcej, ale żadne z nich nie wiedziało czego.

Zbliżało się południe i skwar lipcowego słońca nagrzewał dach małego czarnego opła. Gdy Jakub i Wiktoria zbliżali się już do celu swojej podróży, ich oczom ukazały się drzewa otulające gospodarstwo i duży staw pośród łąnów złotego zboża. Wjechali przez porośniętą mchem bramę i zatrzymali samochód przed starym, drewnianym dworkiem o ścianach w kolorze kasztana, dwuspadowym dachu z małymi okienkami w kształcie domków, po jednym na stronę. Uroku dodawał mu ganeczek z czterema kolumnkami, podtrzymujący balkon i przedzielający



dom na pół. Ramy okien miały kunsztownie rzeźbiony ornament. Przed domem po prawej był stary gliniany składzik i garaż, po lewej znajdował się niewielki, modrzewiowo-brzozowy las. Za garażem ciągnęły się ogrody kwiatowe i był też sad pamiętający czasy sprzed wojny. W powietrzu unosił się zapach wiekowych lip i jabłoni.

Młodym, którzy co dopiero wyszli z klimatyzowanego samochodu, doskwierał teraz letni upał. Jakub był wysokim i szczupłym młodzieńcem o ciemnych włosach z przedziałkiem na środku, ciemnobrązowych oczach i dobrze widocznych ryśach twarzy. Ubrany był w krótkie czarne spodenki i białą koszulkę polo. Wiktoria, jasnowłosa, była niższa od niego, a uroku dodawały jej niebieskie, pełne dobroci oczy. Ubrana była w czerwoną spódniczkę w czarną kratę. Gdy tylko weszli na ganek, powróciły do nich piękne wspomnienia z wcześniejszych lat. Doskonale pamiętali rozkład pomieszczeń w dworku. Wypakowali swoje rzeczy z samochodu i zabrali się za porządki w domu, w którym już od dłuższego czasu nikt nie mieszkał.

Podczas, gdy Jakub przecierał obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, wypadł mu ze ściany gwoździ i zniknął gdzieś pod szafą. Nie mogąc go nigdzie znaleźć, pomyślał, że poszuka gwoździ na strychu. Był tam już kiedyś i pamiętał, że dziadek lubił tu przechowywać rozmaite rupiecie. Wspiął się po schodach i odemknął ciężką klapę wzbijając tumany kurzu, przez które przebijały się promienie zachodzącego słońca, sprawiając, że strych przypominał teraz zaczarowaną komnatę.

– Czego szukasz? – dopytywała go Wiktoria, wspinając się po drabinie za jego plecami, ciekawa jaki z góry będzie widok na ogrody.

– Szukam gwoźdźcia – odpowiedział Jakub rozglądając się uważnie dookoła. Czego tu nie było... szafa, komoda, kredens, stół z ławkami i duży kufer pod oknem. Otwierali szuflady, zaglądali na półki, ale poza kurzem i pajęczynami

nic tam nie było. Wiktorię ciekawił kufer. Wiedziała, że gwoźdźnia tam raczej nie znajdzie, ale coś podpowiadało jej, żeby tam zajrzeć. Z jego wnętrza wydobywał się zapach starości. Spojrzawszy do środka, aż krzyknęła ze zdumienia na widok piękny sukien. Zupełnie nie spodziewała się, że dom, który odwiedzała już tyle razy, może skrywać takie skarby.

– Jakub patrz! – krzyknęła.

– Co się stało?

– Zobacz jakie wspaniałe rzeczy znalazłam tutaj.

Wiktoria wyciągała z kufra suknie, jedną po drugiej, to czarną i długą aż do ziemi, z kwiatami wyszywanymi złotą nicią, to w kolorze morskiej zieleni i z falbanami. W duchu myślała sobie, że jej przyjaciółki byłyby zachwycone takim znaleziskiem. Po wyciągnięciu wszystkich sukni, na dnie kufra ukazała się drewniana szkatułka z ciemnego dębu. Była prosta, pozbawiona zdobień, a zdarte boki i zarysowane ścianki świadczyły o jej starości. Jakub wziął szkatułkę do ręki i położył ją na stole. Przyjaciele próbowali ją otworzyć, lecz stary, pordzewiały haczyk, służący jako zamknięcie, ani drgnął. Sporo czasu ich kosztowało zanim zdołali odemknąć jej wieczko. Ich żądnym poznania tajemnicy oczom ukazały się pożółkłe od upływu lat papiery. Unoszący się od nich zapach był jak wehikuł czasu, przenoszący ich w inny świat. Oczami wyobraźni zobaczyli stary las i usłyszeli jego szum zmieszany ze śpiewem ptaków i szmerem strumienia. Nagle zapragnęli zostać częścią tego nieznanego im jeszcze królestwa. Jakub wyciągnął rękę po pierwszą zapisaną kartkę...

*W maju najlepiej
mieszkać sobie nad wodą,
układać się do snu w lesie...*

– Tak właśnie chciałbym spędzić przyszły maj, w lesie, w bliskości z naturą. Nie wiem jak to możliwe, lecz dzięki zawartości tej szkatułki dowiedziałem się, że mam marzenie ukryte głęboko w duszy, które dopiero teraz odkryłem – powiedział Jakub, czując, że jego życie w końcu ma szansę odnaleźć właściwą ścieżkę. Wreszcie poczuł się zrozumiany. Od zawsze dusiło go siedzenie w domu, kochał spacerować, podróże, wodę, lasy i łąki. Nie wiedział jeszcze czemu jego sercu tak bliskie jest marzenie o wędrówce, ale chciał je jak najszybciej spełnić.

Tymczasem Wiktoria czytała już kolejny fragment wiersza znalezionej w szkatułce...

Już dawno przeminęła pora

Cyganów, którzy wędrowali.

A ja ich widzę:

Są bystrzy jak woda

Mocna, przejrzysta,

Kiedy przepływa.

Czytając kolejne kartki ze szkatułki zapisane wierszami, Jakub i Wiktoria coraz głębiej zanurzali się w świat marzeń, ukryty gdzieś na dnie ich duszy i przemilczany. – Póki nie jest za późno, wybierzmy się w podróż – na głos dzielili się teraz swoimi myślami – tak jak kiedyś Cyganie. Płynmy przez góry i lasy, nawiedzając rzeki i jeziora, jak ta cygańska woda co się bystrzy, odkrywajmy tajemnice świata, podziwiajmy jego piękno. Oboje pragnęli tego samego – przygód, podróży, zagłębiania się w tajniki natury, zaprzyjaźniania się z leśnymi duchami, wskazującymi drogę cygańskim taborom.

W szkatułce pod kartkami ukryta była czarnobiała fotografia, a na niej czar-nowłosa dziewczyna, młoda i piękna, z naszyjnikiem z nieprzeliczonych koralii i kolczykami jak dwa księżyce. Na rękach trzymała małe dziecko i spoglądała na stojącego przy niej wysokiego mężczyznę. Na odwrocie fotografii odnaleźli datę: 1924 rok. Jakubowi nie dawało spokoju to, że nie wiedział kim są te osoby, choć przecież było całkiem prawdopodobne, że byli częścią jego rodziny. Przez myśl mu przeszło, iż powinien zapytać o to dziadka. Zaraz jednak uprzytomnił sobie, że nawet nie wiedział, jak on wygląda. Widział go tylko raz, dawno temu, jeszcze za czasów, gdy dziadek mieszkał w tym domu. Może rację ma Wiktoria, podpowiadająca, że osoby na tej fotografii mają ciemną karnację skóry i pewnie pochodzą gdzieś ze Wschodu? – Jeśli tak – myślał Jakub – to kim ja jestem?

Jakub nigdy nie interesował się historią swojej rodziny. Zwłaszcza o rodzinie od strony ojca wiedział mało, a gdy próbował o nią wypytywać, rodzice coś przed nim ukrywali albo zbywali go byle czym. Powiedział o tym teraz Wiktorii, która zaczęła poważnie się zastanawiać jak mu pomóc i co powinni zrobić w tej sytuacji.

– Może wybierzmy się w odwiedziny do twojego dziadka. Mam przeczucie, że dowiemy się od niego kto jest na tej fotografii – mówiąc to Wiktoria bała się, że Jakub źle zareaguje na ten pomysł. Tymczasem Jakub, po chwili zastanowienia, przyznał jej rację, zerwał się gwałtownie na nogi i zaczął pakować rzeczy, rzucając jej przez ramię – Jedziemy?

– Gdzie? Kiedy?

– Jedziemy do mojego dziadka. Nie ma na co czekać. Jakoś go znajdziemy, w miasteczku jest tylko jeden dom starości.

Jakuba i Wiktoria bardzo byli przejęci odkryciem tajemnicy skrytej w szkatułce na strychu i sami byli zaskoczeni tym, jak szybko podjęli decyzję, zmieniającą

całkowicie ich wakacyjne plany. Gdy wyruszali ze starego dworku, słońce przykrywały chmury, brzozy jakoby kłaniały się im na pożegnanie, a z gniazda na składowiku zerwał się bocian. Jechali piaskówką, pośród pól, a potem mocno podziurawioną asfaltową drogą prze osiedle domków jednorodzinnych. Dom starości w ich miasteczku prowadzony był przez zakonnice. Kiedyś mogły tu przebywać tylko kobiety. Gdy dotarli na miejsce, Jakuba ogarnęły wątpliwości, czy dobrze robią. Nie dość, że nie znał swojego dziadka, to jeszcze mówiono o nim, że jest szalony. Nie było jednak już odwrotu, a ciekawość poznania prawdy i przyjacielskie wsparcie Wiktorii dodawały mu odwagi. Zdecydowanie nacisnął dzwonek w bramie. Głos starszej kobiety zapytał co ich tu sprowadza.

– Przyszliśmy do... – Jakub zastanawiał się jak właściwie nazwać tą wizytę. – Do dziadka... Przyszliśmy do dziadka – odpowiedział po chwili.

Kobieta otworzyła furtkę i wprowadziła ich na dziedziniec, gdzie stała figura Matki Boskiej, otoczona klombami kwiatów, zwłaszcza bratków, hiacyntów i narcyzów. Weszli do budynku, w którym przywitała ich siostra Felicja.

– Przyszliśmy do dziadka Stanisława – powiedział Jakub.

– A, do pana Stasia, na pewno się ucieszy, dawno nikt go nie odwiedzał. Chodźcie za mną – zapraszała ich do środka zakonnica.

Długim korytarzem doszli do pokoju numer 14. Jakub zapukał z lekkim zawahaniem, nie wiedząc, co ma powiedzieć dziadkowi.

– Proszę – usłyszeli miły głos. Weszli do środka. Na specjalistycznym łóżku szpitalnym siedział wychudzony, przygarbiony siwy pan. Twarz miał pomarszczoną, jedynie oczy nie uległy starości, brązowe i lśniące, widać było w nich jeszcze błyski radości. Lekko uśmiechnął się na ich widok.

– Dzień dobry, nazywam się Jakub, czy mam przyjemność z panem Stanisławem?

- To ty Jakubie? Wiedziałem, że przyjdiesz. Usiądźcie sobie.
- Pan wie kim jestem? Przecież spotkaliśmy się tylko raz i to tak dawno?
- Nie mógłbym cię nie poznać, jesteś tak podobny do mojego ojca... Proszę, mów do mnie dziadku. Co cię tu sprowadza?
 - Przyjechałem na wakacje do twojego domu. Razem z moją przyjaciółką Wiktorią. Szukaliśmy czegoś na strychu i tak odkryliśmy starą szkatułkę, a w niej jakieś zapiski i to zdjęcie. Pomyślałem, że wiesz kim są ci ludzie. – Staruszek uśmiechnął się tajemniczo na widok starej fotografii.
 - Myślałem, że gdzieś przepadła. Oczywiście, że wiem kim są ci ludzie, przecież to moi rodzice, Donka i Baro. A ten mały to ja we własnej osobie.
 - Czemu ci ludzie są ubrani jakoś inaczej? Czemu nie miałem nigdy z tobą kontaktu? Co kryje się za tymi wierszami? – Jakub zasypywał dziadka pytaniami, podając mu jednocześnie zapiski znalezione w szkatułce.
 - To jest bardzo długa historia. Dawno, dawno temu, gdy las jeszcze przemawiał do ludzi, a szum wiatru wskazywał im kierunek podróży, po świecie wędrowały tabory kolorowych wozów ciągniętych przez konie. To byli Cyganie. Ich domem była natura. Choć nie mieli książek, w pieśniach i opowieściach przechowali starożytną kulturę Wschodu, skąd przed wiekami wyruszyli w niekończącą się podróż. Zachowali wróżby i śpiew, harfy i sztukę kowalską, upodobanie do płomiennych barw i biżuterii z bogatym ornamentem. Kobiety nosiły długie suknie w kwiaty, mężczyźni kapelusze z szerokim rondem. Wędrując, docieraliśmy do najbardziej ukrytych i dzikich zakątków przyrody, wysoko w góry i daleko w przepastne puszcze.
 - Jak to „docieraliśmy”? Ty też jeździłeś z Cyganami?
 - O tak. Twój dziadek jest Romem, bo tak sami Cyganie siebie nazywają. Dzieciństwo i młodość spędziłem w taborze. Z całą rodziną wędrowaliśmy aż do tego

straszego dnia, gdy milicja nas zaaresztowała. Zabrali nam konie, zakazali podróżować, zamknęli w jakimś porzuconym baraku po kaczkach, cały tabor. Nie wiedzieliśmy co mamy zrobić ze swoim życiem. Odebrano nam naszą kulturę, przemocą nakazano zerwać z tradycją naszych przodków, zniszczono nas.

– Kto to zrobił i po co? – wzburzonym głosem zapytała Wiktoria.

– Władza ludowa. Cygańskie dzieci nie chodziły do szkoły, a my do pracy. Nie pasowaliśmy do społeczeństwa więc na siłę starali się nas przystosować.

– Skoro ty jesteś Cyganem, to kim ja jestem? Czy to możliwe, że ja też...? – dopytywał z niedowierzaniem Jakub.

– Tak, jesteśmy Cyganami, albo jak mówiłem ci wcześniej – Romami. Twój ojciec nigdy tego nie akceptował, chciał żyć „normalnie”. Pewnie wmówił ci, że jestem szalony bo jestem inny, bo wierzę w naturę, wierzę w leśne duchy, które wyznaczały nam drogę podróży, ufam słowom wiatru...

– Ale jak to? To niemożliwe, przecież ja jestem Polakiem...

– Usiądź, nie denerwuj się, posłuchaj dalej, a zrozumiesz jak piękna jest to kultura, twoja kultura. Być może będziesz tym, który przywróci naszej rodzinie tożsamość. Jeszcze przed twoim narodzeniem, powiedziały mi to duchy ogniska podczas pełni księżyca. Poznanie swoich korzeni to jest twoje przeznaczenie, nie uciekniesz od niego. Spójrz na to – staruszek wstał i podszedł do szafeczki. Wyjął z niej stare kartki i bransoletkę w kolorach zielono-czerwonych, supełkową, robioną ręcznie. A potem spojrzał głęboko w oczy Jakuba i rzekł:

– To są notatki moje i twojej babki Sławutni. Babka umiała czytać i pisać i mnie tego nauczyła. Zapisywaliśmy je w czasie wędrowania z taborem. Znajdziesz tu historię naszego rodu, a także domu, w którym spędzasz wakacje. – Dziadek Stanisław usiadł na łóżku i zaczął opowiadać. – Dawno, dawno temu, gdy twoi

prapradziadkowie mieszkali w namiocie z paleniskiem w środku, bardzo chcieli mieć dziecko. Sam już nie wiem, czy to bajka, legenda, opowieść znad ogniska, czy prawda o życiu mojej rodziny. W każdym razie prababka udała się do starej wróżbitki, a ta zaleciła jej wydrążenie dyni, największej jaką znajdzie, i napełnienie jej mlekiem. Później moja babka to mleko wypila, dzięki czemu – jak orzekła nasza starszyczna – urodziła syna. Dano mu na imię Bachtąło. Jak tylko podrośł, wyruszył on w podróż w poszukiwaniu szczęścia. Miał ze sobą kij i skrzyneczkę, które to przedmioty miały mu pomóc w spotkaniu swojego losu. W owym czasie król cygański ogłosił, że człowiek, który go uszczęśliwi, otrzyma rękę jego córki i połowę królestwa. Bachtąło stanął przed obliczem króla i nie lękając się niczego oznajmił mu, że przyszedł po królestwo i żonę. Rozgniewało to króla. Rozkazał zamknąć go pod wielkim dębem w lochu. Wtedy mój ojciec udał się po radę do zwierząt w lesie. Dowiedział się, że musi poszukać czarodziejskiego dźwięku, bo tylko on będzie miał moc promieniowania na króla. Ojciec sklecił drewnianą skrzyneczkę, umocował do niej długie włosy z końskiego ogona, a z zagiętego w łuk patyka zrobił pierwszy smyczek. Gdy pociągnął nim po strunach z włosia, z lochu, w którym był uwięziony na świat zaczęły wydobywać się piękne dźwięki, jakich nikt wcześniej nie słyszał. Muzyka dotarła do króla i go zauroczyła. Bachtąło został uwolniony, król przyjął go u siebie z honorami i zgodnie z obietnicą oddał mu rękę swojej córki i połowę królestwa. Taka jest legendarna tradycja twojej rodziny, słynącej ze wspaniałych muzykantów, a zwłaszcza skrzypków. Jesteś z królewskiego rodu, pamiętaj o tym. W tobie nadzieja, że słońce tej tradycji wszędzie na nowo i odrodzą się nasze korzenie.

Rozmowa z dziadkiem Stanisławem wywarła na Jakubie niezatarte wrażenie. Również w Wiktorii zbudziła się tęsknota za podróżą i pragnienie poznania

tajemnicy, na ślad której trafili na zakurzonej strychu rodzinnego domu jej przyjaciela. Oboje postanowili teraz, że wybiorą się razem w podróż śladami Cyganów. Dziadek wskazał im na mapie miejsce na Mazurach, w którym zakończyła się wędrówka jego taboru, gdzie zaarrestowała ich milicja z nakazem osiedlenia się w barakach. Od tego właśnie miejsca zapragnęli rozpocząć swoją podróż. Po dotarciu tutaj, rozpoznali to samo słońce i wiatr, stare dęby, które musiały pamiętać cygańskich wędrowców. Rozpalili ognisko. Siedli blisko siebie, czując, że ta waka-cyjna przygoda bardzo pogłębiła ich przyjaźń. I otworzyli książkę, którą dziadek dał im na drogę. W szumie drzew dało się słyszeć słowa cygańskiej poetki Papuszy:

*Pokochał mnie las,
Dał mi cygańskie słowo.
Wiatr nauczył mnie śpiewać...*

Muszę wrócić do dziadka i wszystko mu opowiedzieć – pomyślał Jakub i spoj-rzał w niebo.

Małgorzata Sporek-Czyżewska

Mój Brat Kos

Współpraca:

Urszula Korzeniecka i Julia Zdancewicz

Takiej burzy nie pamiętali nawet najstarsi we wsi. Potężne wyładowania rozsiewały błyskawice, w których blasku rozstępowało się ciemne niebo, odsłaniając ołowiane czeluście mroku. Natura i ludzie czuli grozę. Gałęzie drzew gięły się pod mocnymi podmuchami wichury, która rozszalała się na dobre. Wiry wietrzyska porywały wcześniej tego lata opadłe liście, a wysuszony gorącym słońcem piasek polnej drogi, wzbijał się w górę wirującymi kręgami. Pora była na wieczernię i, mimo burzy, ludzie wychodzili jednak z chat. Zawsze o tej porze szli modlić się do molenny. Byli starowiercami, od niepamiętnych czasów żyjącymi w zgodzie z boskim prawem zapisanym w świętych księgach i przekazywanym z pokolenia na pokolenie przez starszyznę.

W jednej z chat we wsi, kiedy niebo szalało nieutulone, spodziewano się przyjścia na świat dziecka. Wieczorem, kiedy miało się już na burzę, jego przyszła matka Wiesielisa modliła się cichutko, żeby tylko nie w taki czas, nie tej nocy, nastąpiło rozwiązanie. Lecz stało się tak, jak się stać miało. W czas szalejącej wichury, tylko przy asyście Iwana, ojca dziecka, urodził się Timofiej. I ktoś jeszcze był z nimi w izbie, ktoś silnie związany z przyszłymi losami chłopca – czarny kos.



Skąd ten mały żółtodzioby ptaszek w chacie? Wleciał do wnętrza, przez okno otwarte impetem wichury, by schronić się przed nawałnicą? Już wcześniej jednak nie raz bywał widziany w ich obejściu. Przylatywał najpewniej z pobliskiego boru, siadał na parapecie okna i stukał swoim żółtym dziobkiem w szybę. Początkowo Wiesielisa, słysząc dźwięk uderzeń o szybę, nasypywała do małych miseczek ziarno dla gościa. Zauważyła jednak, że kos mając miski pełne jedzenia, potrafi nadal natarczywie stukać.

– Co Ty chcesz, Czarniutki? – dopytywała. – Może chcesz mi coś powiedzieć, drogi gościu naszego domostwa? Jakie wieści przynosisz i skąd? Co tu robisz? Przecież twoi towarzysze już dawno odlecieli do cieplejszych krajów, za wielką wodę?

Tymczasem Wiesielisa ogłosiła rodzinie dobrą wiadomość o narodzinach synka. Długo w tym domu czekali na dziecko, całe lata próżnych nadziei. Oboje z Iwanem stracili już wiarę w to, że doczekają się potomstwa. Aż nadszedł ten dzień, w którym radosna wieść o tym, że niemłoda przecież Wiesielisa została matką, obiegła całą okolicę. A ona sama żarliwie dziękowała Bogu, że wreszcie ich pragnienie zostało wysłuchane.

Wielka radość zagościła w ich chacie. Odwiedzającym ich sąsiadom radosne oczy Wiesielisy i jej męża mówiły, o ich wielkim szczęściu. Po tylu latach wyczekiwania i godzenia się z losem, błogosławieństwo zaczęło otulać ich dom.

Iwan dużo czasu spędzał w pobliskim sosnowym lesie. Jak większość mężczyzn w ich starowerskiej wsi pracował przy wyrębie drzew i zajmował się ciesznią. Dużo widział w swoim życiu, znał zwyczaje ptaków dobrze, ale nie mógł się nadziwić, że widzi kosa u nich na podwórku, a nawet w domu.

Iwan lubił słuchać, jak wieczorami milkł chór różnorodnych ptasich głosów, a wtedy z wysokich koron drzew odzywał się śpiew kosów: donośny, niósł się

po całej okolicy. Podobnie było o poranku. Zanim odezwały się inne ptaki, kosy były już na stanowisku i wyśpiewywały swe melodie w bladym świetle świtu, przebijającym się pomiędzy koronami drzew.

Iwan wiedział też, że kosy ukrywały się przed ludźmi, gdyż ci polowali na nie, wychwalając smak ich pieczonego mięsa. Opowiadano, że jeszcze nie tak dawno na jarmarku można było kupić kosy, które uważano za nie lada przysmak. Dlatego tak rzadko kosy pojawiały się w pobliżu ludzkich siedzib, w wiejskich gospodarstwach, ogrodach i pobliskich łąkach. Z tego powodu ten mały kos, przysiadający na ich okiennym parapecie, dziwił Iwana swą obecnością i bliskim obcowaniem z ludzimi.

Natomiast Wiesielisa bardzo hołubiła żółtodziobego ptaka, dokarmiała go i radowała się kiedy tylko się pojawił. W głębi serca uznawała go za szczęśliwy znak, który zapowiedział zjawienie się na świecie Timofieja.

Kiedy Timofiej był malutki, bawiąc się w ogrodzie podśpiewywał nieskomplikowane, acz pełne urody melodyjki przez siebie wymyślone. Powtarzał je przez cały dzień, towarzysząc matce w domowej krzątaniu w chacie i obejściu, przy karmieniu kur, pojeniu zwierząt, roznoszeniu saganów z jedzeniem do obory i chlewa. Niekiedy o brzasku budziła ich ta sama melodia, wyśpiewana gwizdzącym głosem, czystym i donośnym, dochodzącym z pobliskiego lasu.

– Słyszysz Timofieju? To twoja melodia, śpiewana przez naszego żółtodziobego kosa. Pewnie pozdrawia cię tą pioseneczką.

– To brat mój śpiewa! – wołał z radością i dumą malec.

Iwan niejednokrotnie przyglądał się, jak ptak stawał się jedynym towarzyszem jego synka, który nie miał rodzeństwa, a był zbyt mały, żeby z wioskowymi dziećmi biegać po polach i zapuszczać się w las. Dlatego nazywał kosa bratem małego

Timofieja. Serce Wiesielisy radowało się na widok chłopca, który nieustannie przemawiał do ptaka.

Pewnego razu Timofiej zwrócił się do kosa w te słowa:

– Ptaszku mój kochany, na pewno ci smutno, że jesteś taki czarny. Inne ptaki są tak pięknie kolorowe. Gdybym miał moc czarodziejską, sprawiłbym, żebyś był wielobarwny, ze złotymi piórkami na grzbiecie, mieniącymi się w różne kolory, i niebieskimi piórkami pod brzuszkiem. Byłbyś taki piękny, mój ty Czarniutki.

– Timofieju, Timofieju, bracie mój, czas byś stanął przed obliczem mądrości tego świata – przemówił do niego kos. – Nie jest ona schowana przed ludźmi, jest prosta i jasna. Nie wiem tylko dlaczego wam, ludziom, tak trudno ją przyjąć. A więc słuchaj: Zmieniać i poprawiać na lepsze możesz wszystko to, co uczynione zostało przez człowieka. Matce Ziemi, Matce Naturze ufaj! Stworzyła wszystko kierując się sensem sensów i to jest nie do podważenia, tego żadna czarodziejska moc nie zmieni. A przyjdzie czas, Timofieju, jak dorośniesz, żeby porozmawiać o mocach, które są w Tobie. To pierwsza karta mądrości, którą ci przekazuję. Schowaj ją teraz głęboko w sercu, będzie ci przydatna.

Kos zatrzepotał skrzydełkami i odleciał w stronę cienistego lasu. Chłopiec nigdy nie czuł tak rozpierającej go radości. „Otrzymałem niezwykle dar” – nieustannie powtarzał sobie w myślach. „Pierwsza karta mądrości! A ile ich będzie? Czy otrzymam je wszystkie?”

Mijały lata. Timofiej wyrósł na dorodnego młodzieńca, pełnego czułości wobec swoich rodziców i całego otaczającego go świata ludzi, zwierząt i roślin. Uwielbiał godzinami chodzić po lesie, ścieżkami, po których prowadził go w dzieciństwie ojciec. Znał wszelkie zakamarki wielkiego lasu, w którym dawno temu uciekający przed prześladowaniami w Rosji starowierzy założyli swoją

osadę. Wiedział jak omijać mokradła i bezpiecznie zbierać czerwoniutki żurawiny na bagnach. Podglądał ptaki i dzikie zwierzęta, które niejednokrotnie ratował, gdy wpadały w zastawione wnyki. Wracał ze swych leśnych wędrówek, a nad nim leciał, jakby wskazując mu drogę, wierny towarzysz, czarny kos z żółtym dziobem.

Aż nadszedł kolejny sierpień i zdarzyło się dokładnie to, co w dzień urodzin Timofieja – pod wieczór rozpętała się potężna burza, o której ludzie długo jeszcze rozprawiali. Jakby natura po latach chciała powtórzyć niczym refren wydarzenie sprzed lat. Wiesielisa, Iwan i Timofiej siedzieli przy wieczerzy, za oknem ciemniało, zbierało się na deszcz, niebo przecinały błyskawice i jak wtedy, w dzień jego urodzin, mocny podmuch wiatru otworzył okno, przez które wleciał kos i przysiadł na ramieniu Timofieja.

– Tak to już jest, że burza zwiastuje w naszym domu zmiany – pomyślała zaniepokojona Wiesielisa.

Nad ranem wszystko się uspokoiło, ustał deszcz. Timofiej jednak nie zmrużył oka w nocy, siedział przy oknie słuchając cichnącej burzy. Wtedy ponownie przemówił kos, kierując cichutkie słowa wprost do jego ucha:

– Timofieju, czas ruszać w drogę, na spotkanie swojego losu!

Timofiej nasłuchiwał, spodziewając się kolejnych słów od Brata Kosa. Ten jednak milczał. Zrozumiał więc, że to wszystko, co miał mu do zakomunikowania. Bez chwili wahania wstał, wziął swą podróżną torbę, do której matka wsunęła chleb i ser, założył na głowę czapkę, ucałował rodziców i opuścił rodzinną chatę, nie wiedząc na jak długo.

I tak, jak kiedyś, kos leciał przed nim, wskazując mu drogę. Weszli głęboko w las, szli ścieżkami dotąd nieznanymi, aż dotarli do miejsca, gdzie na niewielkim

wzgórzu stał stary dąb, a właściwie jego szeroki pień, rozłupany przez piorun. Tam teraz krążył Brat Kos. Timofiej wkroczył do samego wnętrza dębu. Badał wzrokiem miejsce z wielką uwagą i z zaciekawieniem, tym bardziej, że Brat Kos uparcie nad nim krążył. Nagle coś dostrzegł w pogorzeli: ledwo widoczny, bo przysypany kawałkami spalonego drewna, kostur. Był cały, nienaruszony, jakby chroniący się w kryjówce, która ocaliła go z pożogi. Zdecydowanym ruchem sięgnął po kostur. Okazało się, że jego zakrzywiona część jak ulał pasuje do jego ręki. Mocno trzymał dębowe znalezisko, które natura wyrzeźbiła w kształcie laski, wygodnej i pomocnej dla wędrowca. Brat Kos usiadł mu na ramieniu i szepnął:

– Każdemu dano jego los, by wziął go w swoje ręce! Timofieju, przyjmij swój los i spełniaj go. To druga karta mądrości, jaką ci ofiarowuję. Czyń to, do czego zostałeś przeznaczony. Weź kostur i z jego mocą pomagaj ludziom, wszystkim, którzy naprawdę tego potrzebują. Ruszaj z kosturem, czyń dobro, bo moc jest z tobą.

Timofiej i tym razem posłuchał Brata Kosa i wyruszył w świat. W rękę trzymał kostur, na jednym ramieniu miał torbę podróżną, a na drugim siedział kos, zabawnie przekrzywiając główkę. Takim go zapamiętali ludzie ze wsi, w której się urodził i z której ruszył w świat. Nic by o jego losach nie wiedziiano, gdyby nie cieśle, którzy najmowali się do pracy przy budowie domów nawet bardzo daleko stąd. Ceniono ich wiedzę i kunszt budowania drewnianych domów. Sława o rzemiośle starowierów docierała do odległych stron, skąd posyłano po nich, by dać im zatrudnienie. To oni przywozili czasem wieści o Timofieju krążącym po świecie, czyniącym dobro dla ludzi. Wszyscy nabierali pewności, że to o niego chodzi, gdy opowiadano o wędrowcu z kosturem i małym czarnym ptaku na ramieniu.

Tak mijały lata. Drogi wiodły Timofieja daleko od rodzinnej wsi i tylko czasami w jego sercu pojawiała się silna tęsknota za domem. Wyobrażał sobie swoich rodziców, którzy pozostali w chacie, jak spoglądają na drogę, wypatrując czy nie wraca ich jedynak. Nauczył się opanowywać tęsknotę, a wdzięczność ludzi, którym niósł pomoc, upewniała go, że jest na właściwej drodze życia. Upływ czasu dawał jednak o sobie znać, gdy nogi jego szybko męczyły się w wędrownicy, a włosy na głowie całkiem już posiwiały. Czasem we śnie widział matkę, stojącą przed progiem chaty i wycierającą rąbkiem fartucha łzę na policzku. Kiedy po raz kolejny nawiedził go ten sam sen, postanowił, że pojedzie tam, skąd wyszedł, do rodzinnej wioski, żeby odwiedzić swoich tak dawno już nie widzianych, sędziwych rodziców.

Ani kostur, ani Brat Kos na ramieniu, nie sprzeciwiali się jego decyzji, przeciwnie – sprzyjali zamiarowi powrotu. Kostur, na którym się wspierał, uczynił jego wędrownicę lżejszą, a kos jak zawsze wskazywał im kierunek, żeby nie zbaczali z drogi.

Po długiej podróży Timofiej stanął na skraju wsi. Z pozoru wszystko było takie samo, jak w dzień, w którym wyruszył w drogę. Ale tak naprawdę wszystko było tu odmienione. Dotarli do miejsca, gdzie przytulony do ściany lasu, miał stać jego rodzinny dom. Zamiast niego zobaczył opustoszałe miejsce, zarośnięty sad i walącą się chałupę z zapadniętym dachem.

– Minęło już wiele lat, jak gospodarze pomarli, wędrownicy – zwrócił się do niego człowiek idący z naprzeciwka polną drogą.

Żal ścisnął serce Timofieja. W jednej chwili postanowił zostać tu na zawsze. Naprawił dach, wyrównał ściany domu, poprawił płot, zamieszkał w chacie i jak dawniej wstające słońce zaglądało przez okno i budziło go o poranku. Do chaty

wróciło życie. A na dachu chaty znajdowało swą przystań coraz więcej czarnych ptaków z żółtymi dziobami. Kosy upodobały sobie wszystkie krawędzie dachu chaty Timofieja. Wyglądały jak jej czarne obramowanie, jakby to była koronka zdobiąca tkaninę, która od powiewu wiatru nadchodzącego ze świtem zaczynała falować. Ptaki układały się niczym nuty na pięciolinii i słychać było muzykę orkiestry jakby złożonej z samych fletów.

Powrót Timofieja przyjęto z radością, choć niewielu było już tych, co go pamiętali. Ale sława o nim i o jego bezinteresownym pomaganiu ludziom przysłała razem z nim. Wszyscy przyzwyczaili się do widoku starej chałupy ze słomianym dachem obsadzonym czarnymi kosami, w której mieszkał starzec z kosturem.

A sam Timofiej, w towarzystwie kostura wędrował po najbliższej okolicy, znajdując się zawsze tam, gdzie był pomocny i przydatny. Widziano go przy cielących się krowach, źrebiących się klaczach, niejednokrotnie – niby najlepszy doktor – ratującego życie rodzicielce i małemu źrebięciu czy cielakowi. Wystarczyło, że pocierał kosturem ręce, a te imały się najtrudniejszych rzemiosł. Potrafiły wykonać najbardziej skomplikowane prace, których nikt nie mógł się podjąć, których wykonanie wręcz graniczyło z cudem.

Ręce Timofieja, trzymające kostur, stawały się wiedzące. Kiedy dotykał człowieka czy zwierzęcia, one wiedziały czego potrzebuje nie tylko ich ciało, ale i dusza. Przynosiły im ulgę, uzdrawiały ich.

Pewnego sierpniowego burzowego wieczora, kiedy niebo przecinały błyskawice, silny wiatr wyrывał drzewa z korzeniami, a ulewny deszcz padał przez całą noc, Brat Kos przelatywał niespokojnie z krawędzi łóżka na stół i z powrotem. Timofiej leżał bez snu w swym łóżku i rozmyślał co też przyniesie tym razem

burza, która stanowiła odwieczny refren w sekwencji zdarzeń jego życia. Tylko kostur ze spokojem opierał się o ścianę przy drzwiach.

I wtedy Brat Kos ponownie przemówił do Timofieja, który dawno już nie słyszał jego słów:

– Timofieju, musimy się pożegnać, na mnie już czas. Odlatuję tam, skąd przybyłem. Wracam do cieniściego lasu. Bracia kosy znają już drogę do ludzkich siedzib i już jej nie zgubią. A i tobie powiedziałem najważniejsze. Moja misja jest skończona. Na odchodne chcę podarować ci trzecią kartę mądrości, adresowaną do ciebie wprost z Królestwa Kosów, którego jestem posłańcem. Największym skarbem świata jest dobro. By dobro mogło utrzymać się w świecie, musi być przekazywane dalej. Dobro jest jak nić, którą ludzie nieustannie przekazują sobie by wciąż była przędzona. Zadbaj o to, by ją przekazać, żeby się nie zagubiła i nie przerwała. Ta nić musi trwać! Bez dobra nie może istnieć świat.

Twoja Matka – mówił dalej Brat Kos – uratowała mi kiedyś życie. To było w naszym wielkim lesie, gdzie mnie znalazła mokrego, zziębniętego, całego w strachu. Całym sercem przygarnęła mnie, nakarmiła, dała nadzieję. Była wtedy młodą dziewczyną i nawet nie musiała tego później pamiętać. Z wdzięczności obdarowałem ją nicią dobra, a ona przekazała ją tobie. Ty na szczęście niczego nie zmarnotrawiłeś i dobrze wypełniłeś swój los. Ale pamiętaj, przekaz nić dalej...

Timofiej ocknął się, kiedy jasne słońce zaczęło razić go w oczy. Nie wiedział czy to był sen, lecz w głowie jakiś głos cały czas donośnie mu powtarzał:

– Ale pamiętaj...

Timofiej długo jeszcze wędrował z kosturem po okolicy, a za to, co czynił, zdobywał serdeczność i wdzięczność ludzi. Jego dom napełnił się życiem, kiedy

przygarnął sierotę z pożaru, który pochłonął całe pobliskie gospodarstwo wraz z dobytkiem i mieszkającą tam rodziną. Wezwanemu na pomoc Timofiejowi, udało się wtedy wyciągnąć z płonącej chaty tylko jedno dziecko, dziewczynkę. Nie miała gdzie się podziać, więc zamieszkała z nim. Wkrótce to ona zaczęła opiekować się coraz starszym Timofiejem. A on z wdzięczności opowiadał jej o swym długim życiu i uczył tego, co życie go nauczyło.

Kiedy Timofiej nie mógł już chodzić, z pomocą do ludzi wysyłał swą wychowanicę i uczennicę Lenę, którą wszyscy bardzo polubili. Wracała do domu, kiedy kosy z dachu Timofieja zaczynały swoje śpiewy.

Pewnego wieczora, wracając do domu, Lena zobaczyła widok nie taki jak co dzień. Wśród czarnych kosów, które gromadnie obsiadały słomiany dach ich domu, panowało poruszenie. Wszystkie fruwały wokół chaty, nerwowo trzepocząc skrzydłami. Kiedy weszła do środka, zobaczyła Timofieja leżącego w swym łóżku. Gasnącym spojrzeniem wodził za Leną i coś do niej szeptał.

– Weź nić, Leno – mówił ledwo słyszalnym głosem.

Przywołana niezwykle dźwiękiem, przypominającym podmuch wiatru podczas burzy, Lena wybiegła przed dom. Oczom jej ukazał się niezwykle obraz: w jednej chwili wszystkie siedzące na dachu kosy wzbily się w niebo i, kołując wysoko, utworzyły nad chatą Timofieja ogromny parasol. Panowała dojmująca cisza, słychać było tylko delikatny szelest trzepoczących ptasich skrzydeł.

Po śmierci Timofieja, ludzie dopytywali Lenę, co stało się z jego kosturem, gdzie się podział? Dziewczyna nie odnalazła go w miejscu, gdzie zawsze stał oparty o ścianę przy wyjściowych drzwiach. Zniknął. Może powrócił do dębu, może jest gdzieś porzucony, a może ukryty? Może odszedł w inne światy?

A może wy odnajdziecie kostur Timofieja, którzy słuchacie tej baśni? Może i wy wybierzecie się do wielkiego lasu w poszukiwaniu swojego losu?

W życiu podążajcie swoją ścieżką i rozglądajcie się uważnie. Może i wam uda się odnaleźć kostur, jak ulał pasujący do waszej ręki?

Ale opowieść o tym znajdziecie już w innej baśni...

Janina Osewska

O dziewczynce Krasnogrudzie i gorącym kamieniu

Współpraca:

Hanna Makowska i Miłosz Ramel

Za górami, za lasami, w pięknej krainie pośród pagórów, pomiędzy którymi przepływała nadprzyrodzona energia, stał dwór w którym mieszkała Krasnogruda. Była szczęśliwa ze swoimi rodzicami i bratem. W towarzystwie krasnała Tupila biegała nad pobliskie jezioro, zbierała zioła i kwiaty na łąkach, tuliła drzewa, piła ze strumieni. Pewnego razu zobaczyła bordowy kamień w szare pręgi z plamami przypominającymi oczy. Wiało od niego gorącem. Nigdy wcześniej go nie widziała. Jak się tutaj znalazł? Była zaniepokojona tym tajemniczym odkryciem. Już chciała go dotknąć, ale jej przyjaciel Tupil zawołał:

– Nie dotykaj tego kamienia! Przeczuwam, że przyniesie on wiele nieszczęścia! – zawołał i wskoczył na but dziewczynki. Posłuchała ostrzeżenia i postanowiła wrócić do domu.

– Tupilu, Tupilu czy słyszysz ten płacz dochodzący zza wzgórze, za którym jest mój dom?



– Tak słyszę Krasnogrudko i obawiam się, że zwiastuje on coś złego – przytaknął krasnal ścisząc głos i zasłaniając duże ze zdziwienia oczy swoimi małymi piąstkami.

Pełna obaw Krasnogruda i jej przyjaciel Tupil chcieli jak najszybciej dotrzeć do rodziny. Biegli przez łąkę, która za każdym kolejnym krokiem stawała się coraz bardziej niepodobna do łąki. Główki maków i rumianków opadły, a z ich płatków spadały lzy. Zieleń stawała się ciemna i miejscami szara. Nad łąką nie wisały skowronki. Zielone oczy dziewczynki od tego widoku zaczęły też zmieniać kolor. Stawały się szare i smutne. Im bliżej domu tym widok otoczenia był coraz bardziej zaskakujący. Nawet drzewa, których żywa zieleń cieszyła dziewczęce oczy traciła barwę, a liście sprężystość. Tylko tysiącletni dąb stał niezmienny. Krasnogruda, która kochała drzewa, kwiaty, zioła i ptaki, nie rozumiała tego, co się dzieje. Tupil też milczał. Słyszał tylko głos dochodzący od strony starego dębu:

– Uwierz w swoje siły! Pomożemy ci, bo człowiek sam nie wiele może zdziałać! – dochodziły słowa od strony drzewa.

Zdziwiona Krasnogruda słyszała podobne słowa od swoich rodziców. Zawsze wtedy, gdy wątpiła w swoje plany. Ale dlaczego powtarzał je dąb? Dlaczego mówił „pomożemy”, a nie „pomogę”?

Ale teraz nie było czasu na zastanawianie. Złe przeczucia goniły przyjaciół do domu.

Widok, jaki zastali wokół domostwa był smutny. Wszystko, co żyło powoli umierało. Stawało się szare i nieruchome. Tylko od bordowego kamienia biła poświata i wiało gorącem. Kiedy weszli do przedsionka i dalej w głąb domu, okazało się że wszystko jest w nim zszarzałe, jakby obumarłe. Było pusto. Umierały kwiaty na parapetach, wyschła woda w wiadrze i obrazy na ścianach straciły kolory.

Biblioteka pełna książek z kolorowymi okładkami również była smutnoszara. Trzeba było szukać pomocy. Zrozpaczona Krasnogruda wybiegła w poszukiwaniu rodziny. Kiedy w obejściu nie znalazła ani rodziców, ani brata swoje kroki skierowała ku bordowemu gładziowi. Ten gorący kamień zwany wcześniej przez okolicznych Niezgoda wydzieliał toksyczną energię. Każdy, kto go dotknął umierał i zamieniał się w płamę na kamieniu. Nawet rośliny i zwierzęta. Krasnogruda spostrzegła na nim trzy nowe plamy. Była pewna, że powstały one po śmierci jej rodziców i brata. Skamieniała w sobie. Stała bezradnie patrząc wokół, kiedy nagle usłyszała miękki i przyjazny głos:

– Zrób eliksir Zgody, zrób go z wód natury – podpowiada krasnal.

– Nie ma z czego, bo wyschła woda w źródle, drzewa nie wydzielają soków, jezioro jest jak szkło twarde – odpowiedziała Krasnogruda.

– Chodźmy do dębu, pewnie tam jest woda, bo tylko dąb pozostał zielony – odpowiedział Tupil. Ale Krasnogrudka płakała. Od płaczu straciły barwę jej rude włosy i zmyły się piegi, które dotąd dodawały jej urody. Gdy dąb usłyszał rozmowę, a potem płacz przyjaciół, wysłał w ich kierunku zielone pasmo energii i przemówił:

– Dlaczego płaczesz? – do uszu dziewczynki dochodziło pytanie.

– Gorący bordowy kamień jest przyczyną mojej rozpaczki – powiedziała Krasnogruda.

– Wejdz do mnie i opowiedz, co się stało. Może będę mógł ci pomóc – powiedziało drzewo i otworzyło drzwi do swojego wnętrza.

Przyjaciele spojrzeli na siebie pytająco. Drzewo otwiera drzwi? Po chwili namysłu weszli do jego środka. Tam, wszystko to co na zewnątrz objęte martwością, było żywe: zioła, strumienie, kwiaty. Ptaki grały koncert: puszczyk na flecie,

ślóttnik na kazoo, myszołów wraz z dziećmi na werblach, szpak na gwizdku, kos na trąbce, a szare wróble i sikorki bogatki tańczyły w rytm.

Widząc piękny świat wewnątrz drzewa Krasnogruda zapytała:

– Co mam zrobić, aby świat w którym żyłam nabrał barw i by ożyła moja rodzina?

Znajdź tego, który wyrwał część serca drzewa i porzucił jako kamień przy drodze.

Przekonaj też gorący kamień zwany przez ludzi Niezgodą, aby wrócił do serca drzewa. Jest jego częścią i tutaj jest jego miejsce. Ale to on sam musi chcieć przemiany. Tak, jak ty jej chcesz.

– Dobrze, opowiem mu o naszej rozmowie, ale to nie wystarczy. Potrzebuję soku drzewa do zrobienia eliksiru Zgody – powiedziała Krasnogruda. Tupił kiwał głową, przytakiwał kręcąc w palcach swoją długą brodę, a pod nosem mruzczał: jak Niezgodę zmienić w Zgodę?

– Damy ci sok, a ja wydłużę moje gałęzie, które jak ręce przeniosą kamień do serca drzewa – powiedziało.

Krasnogruda zrobiła eliksir Zgody i pobiegła do gorącego kamienia. Opowiedziała mu o rozmowie z drzewem i połała przygotowanym eliksirem. Kamień ostygł, stracił pręgi i płamy. Wydłużone gałęzie dębu wzięły go na ręce i przeniosły do serca drzewa wypełniając w nim wyrwę. Serce się scaliło. Jeden warunek został spełniony. A jak odnaleźć człowieka, który zranił serce drzewa? Zastanawiała się Krasnogruda. Odpowiedzi szukał też jej przyjaciel w czerwonej czapce. Kiedy tak zadumani szli brzegiem jeziora ujrzeli sędziwego starca pochylonego nad taflą zastygłej wody. Wrócił z dalekiej wyprawy po złote runo. Miał, jak ten dąb, wyrwę w sercu. Teraz dopiero zrozumiał swój błąd. W młodości bardzo kochał ten stary dąb miłością bezwzględna. Przytulał się i czerpał dobrą energię.

Kiedy postanowił wyruszyć w podróż chciał zabrać ze sobą część serca drzewa. Jego egoistyczne nastawienie spowodowało, że płynąca z niego negatywna energia weszła do wnętrza bordowego kamienia. Teraz, biorąc jezioro, Krasnogrudę i Tupila na świadka, przeistaczał się w Człowieka Który Zrozumiał. Rozpoczęła się przemiana Niezgody w Zgodę.

Z chwili na chwilę otoczenie zaczęło nabierać barw. Szare drzewa wypuściły liście, zazieleniła się łąka przez którą wiodła ścieżka do dworu. Dotąd skamieniałe jezioro teraz muskane lekkim wiatrem zaczęło falować. Dwór ożył obecnością rodziców Krasnogrudy i jej brata oraz starca, który dostał imię Zgoda. Krasnal Tupil polubił starca i często zasypiał na jego bucie.

Od tej pory wszyscy mieszkańcy żyli szczęśliwie. Byli gościnni i przyjmowali w swoje progi licznych gości, którzy zwabieni opowieścią przybywali z różnych stron świata by porozmawiać ze starcem i dębem, który swoją ptasią orkiestrę ulokował w pobliżu domu Krasnogrudy. Dziewczynka rosła, ale dalej biegła po łące. A łąka otwierała dla niej swoje tajemnice.

Agata Tuszyńska

Baśń Lenki

Współpraca:

Zofia Kondzielewska i Lena Wiśniewska

Lenka czyta. Odkąd nauczyła się słów, które nazywały rzeczy i uczucia, a potem liter składających się w wyrazy, zdania, strony – wędrowała po nich coraz pewniej, lekka i mocarna jednocześnie. Mogła spełniać marzenia. Być księżniczką, być ptakiem albo tylko być gdzie indziej. W górach, w pałacu, w niebie. To także była wielka nagroda.

Czytanie sprawiało, że otwierały się przed nią nieskończone światy. Wchodziła w nie zachłannie, stale doświadczając czegoś nowego. Czytanie to przygoda – myślała.

Teraz też czyta. Siedzi w kucki w swoim pokoju, ale jest daleko. Przemierza góry i lasy w poszukiwaniu życiodajnego eliksiru, który czyni dobro. Idzie wytrwale mimo deszczu i mgły, wiedziona śpiewem ptaków i wschodami słońca. Chyba zasnęła przez chwilę w jesiennym wąwozie. Czuje jego stabilne, piaszczyste plecy. Opiera się o nie. Mocno, coraz mocniej, bo z oddali wyłania się wielka salamandra. A wtedy... Coś się osuwa, kruszy, spada. Półka na książki ląduje u stóp dziewczynki.

Niemalże stratowała ją ta kawalkada. Tomy płócienne, z kartonową okładką, duże i małe, szyte i klejone. Trochę ją ogłuszyły. Odwróciła się, żeby popatrzeć,



jak to się stało, a wtedy zauważyła na ścianie jakiś ślad. Zgrubienie, obrys na szerokość dwóch cegieł. Zapukała. W środku było pusto.

Zagadka. Gdzie jestem? Czy to kolejny trop w mojej wędrówce? Teraz muszę się nauczyć czytać znaki... Bez trudu wydłubała zatemperowanym ołówkiem fragment ściany. W skrytce znalazła pudełko. Czowała, że to podpowiedź, ślad w drodze ku rozwikłaniu zagadki. O przepis na dobro chodzi, czy o coś innego? Bo przecież było dla niej jasne, że ma przed sobą zadanie do wykonania.

Drewniane pudełko musiało być kiedyś białe, teraz wyglądało jak przyprószone śniegiem. Bez trudu otworzyła wieczko. W środku leżała fotografia. Jedna. Leżała uroczyście. Z tyłu zapisano równym pismem: „Dombelscy, wrzesień 1936 rok”. Obejrzała dokładnie pudełko ze wszystkich stron, ale nic więcej nie znalazła. A i tak biło jej mocno serce. Czowała, że stało się coś ważnego.

Patrzy na zdjęcie. Przed dużym domem z gankiem i kościołem w tle, potem zauważy jeszcze rzeczkę i kaczki, na ławce siedzą trzy kobiety. Pierwsza, którą nazywała matką, bo na kolanach trzyma małego chłopczyka, nosi sukienkę w kwiaty i sweter, a na nogach sznurowane pantofelki. Chłopczyk jest elegancki, w spodniach na szelkach, białej marynarce i wełnianym berecie. Obejmuje mamę przekrzywiając jej kapelusz tak, że ozdobiące go piórko lekko dotyka jej policzka. Obok starsza kobieta w garsonce okolonej futrzanym kołnierzem. Torebka na ramieniu. Trzecia kobieta nosi długi płaszcz z kieszeniami. Ma łagodne spojrzenie. Patrzy przed siebie. Z tyłu, za nimi stoi trzech mężczyzn w podobnie odświętnych marynarkach i kapeluszach. Jeden z nich dotyka ramienia żony, tej z chłopczykiem.

A więc ma rodzinę. Znalazła ich. Trzy pokolenia. Kim są? I dlaczego zamieszkali w jej ścianie? Nieznajomi krewni? Sąsiedzi? Nie zna ich z niczyich opowieści. W małym lusterku próbuje sprawdzić, czy jest do któregoś z nich podobna.

W pierwszym odruchu chciała podzielić się swoim odkryciem z rodzicami, ale szybko zrezygnowała. Musiała się nad tym zastanowić. Zeszła do piwnicy, gdzie często spędzała czas sama. Czuła się tam bezpieczna, jakby świat nie miał do niej dostępu. Stała tam orzechowa komoda i fotel z frędzlami. Mieszkały lalki z jej dzieciństwa, przeczytane książki i szkatułka ze skarbami. Były tu lalki białowłose i Basia, z którą zasypiała przez pierwsze lata, była książka z motylami, wyglądana do szczytu i baśń o trzechsetletnim dębie i parze uczonych kruków. W szkatułce, pod wieczkiem z liśćmi i kwiatami, układała koraliki, szkiełka i kolorowe kamienie. Szare, popielate, zielonkawe, znajdowane w czasie letnich spacerów. Był kamyczek w kratkę i srebrny kluczyk, który do niczego nie pasował. Odłożyła wszystko na komodę i pomyślała, że nie wie, co kryje jej wewnątrz i dlaczego stoi w piwnicy, nie w stołowym.

Za dużo pytań, wydawało się, że nie mieszczą się w głowie dziewczynki. Postanowiła się przejść. Nogi same zaprowadziły ją do sąsiadki, 87-letniej pani Janiny, która zawsze miała dla niej czas. Lenka pomagała jej, jak umiała, czasem pielęła ogród, innym razem zmywała naczynia albo karmiła kury. Pani Janina przywitała ją z radością i zaprosiła na kompot. Siedząc przy kuchennym stole, nagle w promyku zachodzącego słońca, zobaczyła we wnętrzu niedalekiej alkowy takie samo zdjęcie, jakie przed chwilą odkryła we własnym domu. I już nie wiedziała, czy nigdy go przedtem nie zauważyła, czy może go tam nie było, ale aż podskoczyła z radości. – Pani Jasiu, pani Jasiu, co to za fotografia? Skąd Pani zna tych ludzi? Odpowiedziała jej cisza. A potem zobaczyła, jak jej sąsiadka pochyla się, chowa przed nią twarz, i obejmuje się ramionami. Płacze?

Lenka czuje, że potrzebuje pomocy w rozwikłaniu tej zagadki. Rusza do Zosi, przyjaciółki od dzieciństwa, licząc na jej pomoc i jasny umysł. Myśli wirują jej

w głowie, stale przywołuje postaci z fotografii. Czy odszukanie ich będzie cnotą? Jak dobro i szczęście, które są celem wszelkiego dążenia. Tak, definicję musiała wyczytać w słowniku.

Kilka dni później dziewczynki odwiedzają panią Janinę. Zanoszą jej babkę ziemniaczaną upieczoną przez mamę Leny. „Oooo przyniosłyście kugiel!!!” – wita je pani Janina. „Kugiel”? – dziewczynki patrzą na siebie i nie rozumieją, znają tę pieczoną potrawę z ziemniaków, mięsa i jajek, od dziecka. Mama dodaje do niej też cebulę, czosnek i inne przyprawy. Pani Janina częstuje je sokiem malinowym. Już czas, mówi, czas, żebym wam powiedziała...

Myślałam, że zapamiętam na zawsze, obraz po obrazie, ale się myliłam. Pamiętam tylko trochę. Była jesień, miałam takie kozaczki, buciki ciepłutkie w środku. Trochę za duże, bo miały starczyć na kilka lat, tatuś mi je kupił w Suwałkach. Ach, jak ja się z nich cieszyła. I byłam na podwórku przed domem, jak co dzień. Bawiliśmy się z innymi, układaliśmy zamek z kamyków i patyków, bo my dziewczynki lubiliśmy być księżniczkami. Nagle mama wybiegła z domu i zaczęła mnie wołać, tak jakoś gwałtownie, inaczej niż zwykle. Janina, Janina! Spłoszyłam się, zaczęłam biec. A dookoła biegało jak w gorączce pełno ludzi. Ja w jedną stronę, oni w drugą. Biegali i krzyczeli coś do siebie. W pośpiechu rzuciłam się w stronę domu i musiałam zgubić bucik. Płakać zaczęłam, no bo jak bez bucika wrócić do domu. Zaczęłam szukać na kolanach, a wtedy mama chwyciła mnie na rękę, uniosła do góry, nie wiem, skąd się wzięła i ojciec też. Był tam zamęt i rozpacz.

Pamiętam, że bardzo płakałam, a potem musiałam zasnąć. Mam tu w pamięci wielką dziurę, jakby urwał się film. Potem pamiętam już tylko ludzi w kuchni. Dużo ludzi. Sąsiadki były i pan szewc, którego my dzieciaki baliśmy się i pani Gabriela, która nam zawsze kawałki szmatek na ubranka dla lalek dawała. Wszyscy

mówili i opowiadali, że Żydów naszych pogнали! Sąsiadka nasza, pani Aniela mówiła, że nie pozwolili im nic brać, a oni ładowali na wozy kołdry, poduszki, wszystkich swoich starych i małe dzieci. I jeszcze mówili że zbierali ich przy sukiennicach, gdzie były ich sklepy. I że pan Elko, ten co sprzedawał cukierki po jednej sztuce, to nawet płakał. I że piekarnia Kaleckiej zdewastowana, a Perkala, u której tatuś zawsze kupował ciepłe bułki bondy, grochowiaki, a od święta chałkę, wszystkie ma szyby wybite. Wtedy zobaczyłam... na szlabanku, skulony siedział Joachimek.

Bardzo lubiłam jego siostry, Leę i Sarę. Ale czego on tu chciał? I wtedy tatuś mi powiedział, że Joachimek będzie teraz z nami mieszkał, bo jego mama i tata wyjechali. Obiecali, że po niego wrócą. Tata tłumaczył, że Joachimek będzie spał z nami i jadł. Nie miałam brata, ani nawet siostry nie miałam, to się ucieszyłam. Tylko że Joachimek nie mógł z nami wychodzić na dwór. Ale była wojna, więc i my tak prawie nie chodzili, bo tatuś mówił, że jest niebezpiecznie i lepiej w domu siedzieć.

Joachimek to nie chciał się ze mną bawić, a w nocy ciągle płakał. Dawałam mu swoje rysunki na pocieszenie, a rysowałam ślicznie. Drzewa, rzeczkę, kwiaty. On je gdzieś chował. A potem to już czas poleciał. Jak za szybą, lata i zimy, jesienne liście i deszcze. Jego mama i tatuś po niego nie przyjechali. Stale czekał. Na wiadomość, na list, na znak jakiś. Ale listonosz niczego nie przynosił. Do sąsiadów to przychodziły z Ameryki listy, oni się z taką jedną rodziną żydowską dobrze znali. Mieszkali blisko siebie, a tamci wyjechali przed samiutką wojną. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co się stało z rodzicami Joachimka, nikt nie chciał o tym mówić.

To było latem, jak wróciłam z ogrodu, zobaczyłam wóz do mleka. Patrząc, a Joachimek walizki pakuje. Wystraszyłam się i pytam, co się stało. Powiedział,

że podobno ciotka z Warszawy przeżyła i on do niej jedzie. Co? Jak? Dlaczego? Pobiełam do kuchni zrobić mu pajdę chleba na drogę. A jak ten chleb masłem smarowałam, to mi trochę łożka pociekła. Dałam mu razem z chlebem rysunek, co ostatnio narysowałam. Był na nim on i ja. Razem, obok siebie.

Bardzo żałowałam, że pojechał. I tak minęło kilka wiosen bez Joachima. Moja mamusia pochorowała się i zmarła. Tatuś wysłał Joachimowi telegram z wiadomością, że mamusia nie żyje. W dzień pogrzebu patrzę, a do kościoła wchodzi jakiś młodzieniec w garniturze. Zamiast usiąść w ławce, podszedł do Tatulka i do mnie. Ja patrzę i nie wiem, o co chodzi, a tatuś go przytula. I nagle słyszę, jak mówi: „Joachim! Jednak przyjechałeś”. Stałam jak wryta, nie dowierzałam, że to mój Joachimek wrócił. Po pogrzebie w domu był obiad, sama wszystko przygotowałam, zupę i kotlety i jabłecznik. A jak podałam jedzenie do stołu, Joachim zapytał, gdzie jest Jasia. A ja do niego, że to przecie ja. Jak zaczęliśmy gadać w pół do czwartej, to skończyliśmy po dziewiątej wieczór.

Z samego rana po śniadaniu, tata przyszedł i powiedział, że Joachim zostaje u nas pomóc w remoncie strychu. Jak ja się ucieszyłam! No i tak Joachim u nas znowu zamieszkał. Dach naprawili, sąsiadom w żniwach pomagał, przyszły święta i nowy rok. Przez ten czas dużo rozmawialiśmy. Powiedział mi, że składał wszystkie moje obrazki w walizce! Nie wiem, jak to się stało, że się w sobie zakochaliśmy. W styczniu Joachim mnie zapytał, czy zostanę jego żoną. Od razu się zgodziłam! A tatuś, jak się dowiedział, szybko nas pobłogosławił.

W czerwcu wzięliśmy ślub. Bardzo my się kochaliśmy i szanowali. Synów czterech urodziłam. Wszystkie dobre, mądre chłopaki. Dobrze nam się razem żyło. Dziesięć lat temu pan Bóg zabrał go do siebie. A Wasza rodzina, Lenko, to jego dom po wojnie kupiła. Jak tata Twój go remontował, to znalazł mezuzę, jeszcze

po rodzicach Joachimka. Przyniósł nam ją. Mam ją nadal. Wiecie, co to takiego: „mezuzą”? Taki pojemnik na odrzwiach, na prawej framudze z fragmentem żydowskiej Tory w środku. Znaczył żydowski dom. Ale Joachimek nigdy nie poszedł do synagogi, mówił że tego świata już nie ma i że w domu obok krążą duchy jego rodziny. Oj, ja nie raz czułam, że on boi się wspomnień. To zdjęcie, które trzymasz w ręku to rodzina Joachimka. A ten dzieciak na rękach to mój Joachimek z mamą i tatą, i babcią, i wujostwem.

Pani Janina wyciąga z szuflady zawinięty w bordowy aksamit klucz. Dombelscy, wygnani z innymi Żydami przez Niemców, zdążyli jeszcze powierzyć ten klucz mamie pani Janiny. Prosilili, żeby opiekowała się domem. Wierzyli, że tu wróca. Lenka uświadamia sobie wtedy, że słyszała powielekroć, jak ludzie mówili, że mieszkają w pożydowskim domu. Teraz już wie, co to znaczy.

Dziewczynka nieśmiało wyciąga rękę po klucz i powoli odwija go z materiału. Drżą jej dłonie, czuje niejasny niepokój. Bezwiednie łapie Zosię za rękę. I wtedy obie widzą wewnątrz domu w szabat, podczas piątkowej kolacji. Widzą rodzinę ze zdjęcia. Widzą kobietę w czarnym czepcu na głowie, która wykonuje dziwne ruchy nad rozpalonymi świecami, potem dotyka dłońmi twarzy jakby była w rozpacz. Widzą rodzinę nad stołem, gdzie ustawiono półmiski ze śledziem i karpim, kugiel, chałkę i czulent. Dziwne, bo nigdy nie słyszały o „kuglu” i „czulencie”, a teraz nagle wiedzą, co one oznaczają. Widzą wreszcie leżące w łóżeczku małe dziecko. Wiedzą, że to chłopczyk, o którym opowiadała przed chwilą pani Janina. Słyszą męski głos, który zaczyna śpiewać szabasową pieśń Szalom Alechem. Nigdy nie słyszały takiego śpiewu, a jednak nucą pod nosem.

– Lenka, Lena!

Pani Janina kilkakrotnie powtarza imię dziewczynki.

– Leno, od dziś ten klucz będzie należał do Ciebie. Ty będziesz go strzegła i kiedy pojawi się ktoś z rodziny Dombelskich, zaprosisz go do swojego domu i razem będziecie świętować. Wiem, co jest w komodzie w waszej piwnicy. Pamiątki po rodzinie Dombelskich czekają na kogoś, kto się o nie upomni. Nie otwieraj tej komody. Pokazywałaś mi kiedyś szkatułkę z Twoimi skarbami. Widziałam tam srebrny kluczyk, to kluczyk od komody, nie zgub go!

Nie zgubi. Dochowa tajemnicy. I nauczy się uprawiać dobro, które jest w każdym z nas. I każdemu najpiękniej służy. I, że sekret jest pod spodem każdego losu. A świat należy czytać warstwami, bo tak powstawał, po kolei. I tak był zaludniany. Jedni po drugich, pokolenia po pokoleniach zajmowały po sobie miejsca na ziemi. Zajmowali. Zajmowaliśmy. Lenka zapisuje w zeszycie, jak ważne jest czytanie tego, co pod spodem, w ścianie, pod podłogą, za zakrętem. Bo przeszłość nas tworzy, kształtuje i określa. Tak zacznij swoją pierwszą książkę dla dzieci. Będzie to opowieść o pewnym żydowskim domu i jego żydowskiej przyszłości. O złotym słońcu i księżycu, które dla wszystkich świecą tak samo.

Birutė Jonuškaitė

Wilcze stopy albo jak powstało Witkopedzie

Współpraca:

Igor Nieszczerzewski i Maciej Faszczewski

Dawno, dawno temu, gdy ludzie znali mowę zwierząt i ptaków, gdy niebo żyło w zgodzie z ziemią a wszystkie pory roku dbały o porządek, trwając tylko tyle ile im było przeznaczone, w swoim wielkim królestwie żył Miły Król. Ktoś powie, że takich królów raczej nie bywa. Ano, ten był wyjątkiem – i miły i dobry.

Miły Król wiedział, gdzie zaczynają się i gdzie kończą jego ziemie, dbał o swoich podwładnych, mieszkających w dużych miastach i w dalekich wioskach. Jego zamek stał na wysokiej górze i miał dużo ogromnych okien, bo Miły Król lubił spoglądać na swoje królestwo, na pobliskie domy mieszczan, na rojne ulice, w których wrzało życie, jak i na daleko za miastem leżące pola i zagrody wieśniaków.

Król także lubił patrzeć w niebo i dniem, i nocą. Gdy nad horyzontem pojawiało się Słońce, Miły Król witał je mówiąc: bądź pozdrowione Bóstwo nieba i Ziemi! Raduj mnie i mój kraj! Niech twoje promienie dają życiodajną siłę każdemu, kto je zobaczy i poczuje! Niech twoim światłem zalane pola dadzą obfite



plony, niech twoje ciepło ogarnie każdego człowieka i wszystkie boskie stworzenia, które żyją na polach i w lasach, gnieźdzą się pod ziemią i w powietrzu latają.

I cieszył się razem z całym światem każdym nowym dniem. Ptaki przysiadają na pobliskich drzewach i oknach zamku i śpiewały radośnie, budząc młodą królową.

Tak samo ciepło Król witał i Księżyc, i gwiazdy na niebie. Całymi godzinami mógł patrzeć na Drogę Mleczną albo Niedźwiedzicę, szeptał do nich, prosząc spadające gwiazdy, aby spełniło się jego życzenia. Tak on wypraszał od ciał niebieskich deszcz na wiosnę, gdy wszystkie rośliny i drzewa budziły się ze snu, a dobrą pogodę na okres żniw. Umiał Król dogadać się z chmurami i wiatrem, ze śnieżycą i upałem. Więc dobrze się działo w jego królestwie.

Król żył w dostatku, więc nie nakładał dużych nałogów na swój naród. Posiadał skrzynie pełne złota, i cenne obrazy mistrzów z całego świata, i srebrne nakrycia stołowe, i wspaniałe meble, wykonane przez najświetniejszych rzemieślników. On często ze swoją piękną żoną podróżował po świecie i cieszył się widokiem niezwykłych krain. Tylko jedna rzecz go smuciła – nie miał, niestety, żadnego potomstwa, mimo że tak bardzo pragnął mieć choć jedno dziecko. Ale obaj z ukochaną Królową nie tracili nadziei.

Pewnego razu, gdy wracali z dalekiej podróży, jadąc przez puszcę spostrzegli pod drzewem leżącą kobietę. Król zatrzymał się. Chciał dowiedzieć się, co ona tu robi sama w takim bezludnym lesie. Niestety, kobieta już była martwa, ale w jej objęciach cichutko popłakiwało niemowlę. To była kilkumiesięczna dziewczynka.

Królowa i Miły Król od pierwszego wejrzenia pokochali to śliczne niemowlę i wzięli je do zamku, a kobietę Miły Król przykazał pogrzebać na pobliskim

cmentarzu. Ponieważ dziewczynkę znaleźli w puszczy, pod drzewem, dali jej na imię Medeina¹. Od tego czasu Królowa i Miły Król spędzali z nią jak najwięcej czasu, kochali jak własne dziecko, a ona rosła i cieszyła ich swoim śmiechem, szczebiotem i śpiewem. W zamku panowała wielka radość i miłość.

Mijały lata, Królowna wyrosła i stała się urodziwą dziewczyną. Coraz częściej zaczęła wychodzić z zamku na długie spacerunki do pobliskiego lasu. Kochała leśne zwierzęta, więc zawsze niosła dla nich jakiś poczęstunek – to marchewkę dla zająca, to jabłko dla jelenia albo plastry miodu dla niedźwiedzia.

Pewnego dnia na leśnej dróżce zobaczyła dotychczas niespotkane Zwierzę: ono poruszało się na dwóch nogach, mimo że było raczej podobne do wilka niż do człowieka – całe czarną sierścią pokryte.

– Kto ty? – Spytała z ciekawością królowna, bo była tak samo miła jak jej ojciec i dobrego serca, które kochało wszystkie stworzenia tego świata. Ale odpowiedzi nie usłyszała, tylko błysnęły wielkie ślepie, Zwierzę coś zamamrotało i zniknęło w gęstwinie lasu.

Następnego dnia Królowna znowu przysłała w to samo miejsce i od razu poczuła, że ktoś ją śledzi, a po chwili spostrzegła wśród krzaków głowę Zwierza.

– Dlaczego nie wychodzisz na spotkanie? Dlaczego kryjesz się przede mną?

Zwierzę wygramoliło się z krzaków i zrobiwszy kilka kroków w stronę królowny, zatrzymało się.

– Przedstaw mi się tak jak ja to robię: ja jestem córką Miłego Króla, mam na imię Medeina. A ty? Skąd przybyłeś?

Zwierzę milczało.

¹ Medeina – litewska bogini lasu.

– Jeśli nie masz ochoty podejść bliżej i porozmawiać ze mną, to nie będę cię zmuszała. Ale tylko ci powiem, że w tych promieniach, które przedzierają się przez gałęzie drzew, ładnie lśni twoja czarna sierść. Chciałabym ją pogłaskać.

Zwierzę spuściło głowę i coś zamruczało. Królowna, jak i jej ojciec, znała mowę leśnej zwierzyny, ale ten pomruk był dziwny – ni to człowieka, ni to niedźwiedzia, jednak wydawało jej się, że powiedział coś w rodzaju „To niemożliwe”.

Królowna ostrożnie zrobiła jeden krok na przód. Zwierzę zaniepokoiło się, ale stało w miejscu.

– Widzę, że boisz się mnie, chociaż jesteś duży i silny. Więc lepiej zacznijmy taką zabawę: ja będę przychodzić tu każdego dnia w samo południe, będę czekać na ciebie i gdy pojawisz się, staniesz oto pod tym dębem, a ja tu – przy krzaku kaliny. I każdego dnia ja zrobię po jednym kroku w twoją stronę. Gdy dojdę do dębu, ty podasz mi swoją łapę na powitanie.

Zwierzę kiwnęło głową, a może tylko tak królownie wydawało się. Obróciło się i podreptało w las – tym razem na czterech łapach.

Ale Królowna nie rzuciła słów na wiatr i następnego dnia, w same południe już stała przy kalinie. Nie była przyzwyczajona do czekania – przecież całe życie wszyscy na nią czekali, na jej rozkazy, nikt nie śmiał spóźnić się tam, gdzie ona pojawiała się. A teraz musiała czekać na jakieś dziwne, uparte stworzenie. Jednak nie przejmowała się takim nietaktem i spokojnie czekała, aż pod dębem pojawiło się Zwierzę.

– Jak miło, że jednak przyszedłeś! – Krzyknęła radośnie. – Spójrz, robię jeden krok. O jeden krok jestem bliżej ciebie. Mam nadzieję, że nie jest to dla ciebie nieprzyjemne. Może chciałbyś coś mi powiedzieć?

Zwierzę w cieniu dębu niewyraźnie jakby stęknęło i opuściło ślepie.

– Nie przejmuj się – wesoło zawołała Królowna, mamy dużo czasu, nauczę się twoich pomruków, stęków i mamrotań. Już teraz myślę, żeś powiedział coś w rodzaju „Podoba mi się ta zabawa, ale boję się...” Nie wiem, czego ty się boisz, ale wyjaśnimy sobie po drodze, dobrze?

I tak każdego dnia Królowna wesoło zagadywała Zwierzę i coraz bardziej do niego zbliżała się. Pięć, dziesięć, piętnaście kroków... Coraz lepiej widziała jego czarną sierść i wielkie nozdrza i już rozumiała, że gdy mówiła mu coś miłego, a mówiła codziennie coraz więcej, bo przecież była córką Miłego Króla, nozdrza Zwierza jeszcze bardziej powiększały się, a on sam prostował się i jakby uśmiechał się. A gdy oddalała się on kurczył się i malał, aż wstawał na cztery łapy i smutno człapał z powrotem w las.

I tak w środku lata królowna doszła tak blisko do Zwierza, że już mogła widzieć jak zmienia się kolor jego oczu, jak one radośnie błyszczą albo smutnieją, gdy ona coś mu opowiada. Z jego mamrotań i zachowania już wiedziała, że przybył on z dalekich krajów, i że nie zawsze miał wygląd zwierzęcy.

Aż pewnego dnia stanęła całkiem blisko i poczuła ciepły oddech Zwierzęcia na swoim policzku.

– Daj mi łapę, przywitaj się ze mną – poprosiła cicho.

– Nie mogę – jęknęło Zwierzę – poparzysz się. Każdy mój dotyk sprawia innym ból.

– Ból? Przecież masz sierść na łapach! A sierść nie parzy!

I już wyciągnęła swoją białą rączkę w stronę Zwierza, i ledwo dotknęła jednym palcem jego sierści, poczuła ból – jak od ognia czy wrzątku.

– Oj – krzyknęła – naprawdę boli. Dlaczego masz taką dziwną sierść?

Zwierzę smutno patrzyło w stronę a jego oczy lśniły jak dwa ciemne jeziora. Niczego nie mamrotało.

– Nie smuć się, my w swoim królestwie mamy dobrych lekarzy, ja poproszę ich o pomoc. Coś wymyślą, aby twoja sierść nie parzyła innych.

Zwierzę smutno pokiwało głową i z jego mamrotu Królowna zrozumiała, że mówił:

– Nie ma na to lekarstw. To jest potępienie.

– Potępienie? Czy ja dobrze słyszę? – Upewniła się królowna. Przepraszam za wścibskość, ale chciałabym wiedzieć, za co?

Ale Zwierzę nic nie odpowiedziało. Obróciło się i zaczęło oddalać.

– Nie odchodź, nie mogę ciebie tak zostawić bez żadnej nadziei. Musi być jakieś wyjście! – Dognała Zwierzę i schwyciła za łapę. O rety, jaki straszny ból przeszył całe ciało królowny!

Zwierzę gwałtownie odwróciło się, w jego oczach była wielki strach i rozpacz. Na dłoni królowny widniały białe pęcherze – jak gdyby tylko co liznął ją ogień, a łapa Zwierzęcia, którą ona dotknęła już była bez sierści – wyglądała jak zwykła ręka młodego mężczyzny.

Królowna jęczała z bólu, a łzy spływały po jej policzku. Na głos jej jęków z lasu wyskoczył Zając.

– Co ci jest, Królowno, dlaczego płaczesz?

– Boli, Zajączku, bardzo mi boli. – Pokazała swoją dłoń.

– E tam, to nic strasznego, wyliżę ci ten ból. Będę miał okazję odwdzięczyć się Ci za twoje dobre serce, ty przecież zawsze mi przynosisz marchewkę do lasu.

I zaczął swoim małym języczkiem wyliżać pęcherze na dłoni królowny. I ból po mału ustawał.

Zwierzę wciąż stało w osłupieniu i oglądało to swoją białą, do całego owłosionego ciała niepasującą dłoń, to patrzyło na gojącą się dłoń królowny.

– Widzisz, już mnie prawie nie boli. Teraz mogę wziąć cię za rękę – Królowna dotknęła białe palce Zwierzęcia.

A potem krzyknęła do oddalającego się przyjaciela:

– Dzięki kochany Zajączku!

– Zawsze na twoje usługi, Królowno! – Pomachał ten swoją szarą łapką. – Do zobaczenia przy karmniku.

– A teraz chcę usłyszeć twoją historię. Co za przekleństwo wisi nad tobą? – Zwróciła się Królowna do Zwierza.

Zwierzę jednak nie okazało chęci do rozmowy, machnęło białą ręką i pobiegło do lasu.

Następnego dnia Królowna kroczyła do lasu z myślą, że musi „zedrzeć” ze Zwierzęcia o wiele więcej sierści, ale jak to zrobić? Czy wytrzyma ból, jeśli pogłaszcze go po twarzy?

Zwierzę przybiegło na czterech łapach – raczej – na trzech, bo przecież jedna już była ludzką ręką. Wyprostowało się tylko przed Królowną. Wtenczas ona zobaczyła jego podrapaną, grudkami skrzepłej krwi pokrytą dłoń.

– Nie, tak nie można! Ty nie możesz biegać na czworakach. Ja ci pomogę pozbyć się tej okropnej sierści! – zaczęła głaskać jego ręce i ramiona i grzbiet, i pierś...

I po chwili las przeszył straszny jej krzyk. A po drugiej chwili Królowna straciła z bólu świadomość i upadła u stóp Zwierza, który stał osłupiały i oglądał swoje białe, sierści pozbawione ramiona. Tymczasem z lasu wybiegł Jeleń:

– Jakie tu krzyki? Czy ktoś wołał o pomoc?

Zwierzę wskazało na Królową, zawył wilczym głosem i pobiegło w las. Jeleń ukląkł obok jęczącej Królowy:

– Zaraz ci pomogę moja Królowo, chociaż jesteś strasznie poparzona, ale wylizę twój ból.

I zaczął swym długim szorstkim językiem lizać pęcherze na skórze Królowy. Długo to trwało, ale pod wieczór Królowa już czuła się na tyle silna, aby móc wrócić do zamku.

– Odprowadzę cię do skraju lasu, boję, żebyś nie omdlała po drodze – powiedział Jeleń i szedł obok niej jak strażnik z ogromnymi pięknymi rogami.

– Dziękuję kochany Jeleniu, żeś mi pomógł – rzekła Królowa na pożegnanie.

– Zawsze jestem na usługi Miłej Królowy. To zaszczyt dla mnie, że mogę pomóc Królowie, która dba, aby zimą było siano w karmikach dla mojego stada.

Długo Królowa dochodziła do siebie, długo leżała w pościeli wprowadzając Miłego Króla i Królową w rozpacz, bo nie wiedzieli, co z ich córką się stało. Królowa nie chciała wyjawić swojej tajemnicy, nic nie powiedziała o spotkaniach ze Zwierzem. A gdy wróciła do zdrowia i spojrzała w lustro, aż dech jej zaparło – całe jej ręce były czerwonymi plamami usiane. Ból wylizali dobrzy moje przyjaciele, ale blizny zostaną pewnie na całe życie – pomyślała smutno. Ale ten smutek nie trwał zbyt długo, bo już następnego dnia wymknęła się znowu do lasu z nadzieją, że Zwierzę czeka na nią. Ale nigdzie go nie było. I wtedy pojęła, że przecież nie wie, jak ono ma na imię. Więc jak ma wołać? I jeszcze bardziej zasmuciła się. Siadła pod dębem i gorzko zapłakała. Obok w lesie człapał Niedźwiedź, usłyszał płacz Królowy i podszedł bliżej:

– Dlaczego płaczesz córko Miłego Króla? Kto zranił twoją dobrą duszę? – Spytał Niedźwiedź.

– Szukam dziwnego Zwierza, ale nigdzie go nie ma... – szlochała dalej Królowna.

– Ano widziałem takie dziwne stworzenie w gęstwinie lasu – u góry do człowieka podobne, a nogi – jak moje – sierścią pokryte. Czy tego szukasz?

– Tak, Niedźwiedziu, tak, ja muszę go odczarować!

– No to siadaj na mój grzbiet – zaniosę cię do niego.

I Niedźwiedź z Królowną popędził przez las w najciemniejszą gęstwinę, gdzie Słońce nigdy nie spogląda i Księżyc swym bladym światłem ziemi nie dosięga. I tam w tym królestwie Pająków i ich czarnych pajęczyn, w wiecznym mroku leżało Zwierzę. Królowna z wielkim strachem przedarła się przez martwe pnie drzew, gałęzie i pajęczyny, podeszła całkiem blisko.

– To ja córka Miłego Króla, stęskniłam się za tobą, tyle dni czekałam, ale ty nie przyszedłeś pod dąb, więc...

Zwierzę podniosło się ze swego legowiska zamieszane i takie nieszczęśliwe, że ledwo stało na nogach. Królowna od razu zrozumiała – ono jest bardzo chore.

– Ja ci zaraz pomogę! – Krzyknęła i zaczęła głaskać jego szyję i twarz, które jeszcze było pokryte sierścią. Głaskała i jęczała z bólu, bo każdy dotyk ją parzył, ale nie przestawała, aż nareszcie przed sobą ujrzała jak wyłania się czoło i nos, i usta przystojnego mężczyzny, ale ból w całym jej ciele był taki wielki, że tylko jęknęła opadając na mech: pomóż mi, Niedźwiedziu...

– Zaraz wyliżę twój ból, moja Królowno, zaraz ci będzie lepiej. – Niedźwiedź zaczął lizać swym wielkim językiem pęcherze na ciele Królowny, a Zwierzę-Mężczyzna stał osłupiały obok, nie wiedząc, co ma ze sobą począć. Ręce mu drżały, nogi mu drżały, był tak wychudzony i słaby, że nawet kroku nie zdołał zrobić.

Nareszcie Królowna ocknęła się i otworzyła oczy.

– Dziękuję kochany Niedźwiedziu, już jest mi lepiej. A teraz zanieś nas do zamku.

I zaniósł Niedźwiedź Królową i Zwierzę do zamku. Jaki lament powstał! Jaka rozpacz ogarnęła Miłego Króla i Królową na widok swojego dziecka i dziwnego stworzenia, które było jakby człowiekiem, ale ze stopami, pokrytymi ciemną sierścią. Zawołano do zamku najlepszych lekarzy, długie dni i noce leczyli oni biedną dziewczynę, ostrożnie badali osłabione ciało młodzieńca. Po kilku miesiącach nareszcie Królowna wstała z łóżka. I od razu zaczęła wypytywać, gdzie jest... ten, z którym do zamku wróciła. Szkoda, ale wciąż nie знаła, jak on ma na imię.

Młodzieniec też odzyskał siły, ale cały czas milczał, mimo że próbowali z nim rozmawiać i Miły Król, i Królowa. On nie rozumiał ich języka.

Królowna, gdy usłyszała, że jest on zdrowy, od razu pobiegła do jego komnaty:
– Jakie szczęście, że wyzdrowiałeś! – Krzyknęła na powitanie. – Tak bardzo bałam się o ciebie. Teraz mi powiedz, jak masz na imię i kim ty właściwie jesteś?

– Wygnańcem jestem. Mam na imię Viltautas². Długie lata tułam się po świecie, bo taka na mnie klątwa spadła za grzechy mojego ojca.

– Klątwa? Za jakie grzechy?

– Mój ociec był okrutnym królem. Za najmniejsze nieposłuszeństwo ścinał głowy swoim poddanym, podpalał ich domy razem z ich dziećmi i żonami. Więc przekłeli go bogowie: w ciągu jednej nocy zamek zrównali z ziemią, mojego ojca oddali wronom i krukowi na ucztę, a mnie – jedynego syna – skazali na wiele lat wilczego życia.

² Viltautas – litewskie imię, składające się z dwóch słów: viltis – nadzieja i tauta – naród.

– Ale ty masz dobre serce! Ty nie jesteś wilkiem! Przecież ta klątwa nie może trwać na wieki!

– Według woli bogów miałem być wilkiem do chwili, gdy spotkam kogoś, kto zrozumie moją mowę i dobrowolnie weźmie dla siebie część mojego cierpienia. Ty jesteś tą osobą. Tylko ty rozumiesz mój język, ty, przywracając mi ludzki wygląd, skazałaś siebie na okropny ból. Jestem Tobie niezmiernie wdzięczny.

– Jeszcze mi nie dziękuj, jeszcze muszę wygłaskać i twoje obrośnięte stopy, abyś na zawsze zapomniał o swoim przekleństwie.

– Niestety, tego nie zdołasz zrobić – uśmiechnął się smutno Królewicz.

– Jak to? – Nie wierzyła mu Królowna. Podeszła, przyklękła i zaczęła głaskać sierść na jego stopach. I nic. Sierść nie parzyła jej rąk i nie znikwała.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Królowna. – Czy moje ręce straciły moc?

– Tego przekleństwa ani twoje delikatne dłonie, ani twoje złote serce nie mogą pokonać. To wola bogów: ja do śmierci będę mieć wilcze stopy i jeśli założę rodzinę, te stopy odziedziczą i moi synowie, i wnukowie, i prawnukowie – całe siedem pokoleń. Chyba że... spotkam dziewczynę, która pochodziłaby z naszego narodu i zakochałaby się we mnie bez pamięci, nie zwracając uwagi na wygląd moich nóg. Wtenczas tylko dwa pokolenia byłyby z wilczymi stopami. Ale, niestety, mój cały naród wytępiony. Jeśli i wrócę do swojego królestwa, nie znajdę takiej dziewczyny. A jeśli nawet i znalazłbym, to już nie mógłbym jej pokochać, bo...

– Bo co? – Prędko spytała Królowna.

– Bo... cię pokochałem od pierwszego wejrzenia, kiedy jeszcze byłem wilkiem...

– Szkoda, że nie jestem z twojego narodu, ale i ja bardzo cię kocham... – przyznała się cicho Królowna.

I potem wszystko potoczyło się tak, jak to w baśniach bywa: Miły Król wyprawił dla Medeiny i Viltauta wspaniałe wesele, które trwało dwa tygodnie. A gdy uczta zakończyła się Miły Król dał wielką wyprawę dla swojej ukochanej córki i wyruszył cały orszak wozów w królestwo Viltauta.

Gdy dotarli do opuszczonego królestwa znaleźli wsie i miasta porośnięte lasami, ale młoda para i dworzanie wycięli jedną wielką polanę, na której zbudowali sobie domy i zaczęli nowe życie. A ponieważ i Medeina i Viltautas mieli dobre serca, wieść o ich odbudowującym się królestwie rozniosła się na wszystkie strony świata i zaczęli przybywać ludzie z innych krain, i powstawały nowe osady. Tam, gdzie rosły klony, po latach powstała wieś Klevai³, a ci, co zamieszkali w samym środku gęstwiny, nazwali swoją wieś Vidugiriai⁴. Ci, co dostali od Viltautasa duży kawał urodzajnej ziemi, tak ją rzetelnie obrabiali i tak bardzo cenili, że swoją wieś nazwali wedle jej czarnego koloru – Juodelišké⁵. Przybył w tę krainę i pewien Jan ze swoją rodziną, długo rozglądał się i szukał miejsca, gdzie tu chałupę zbudować, aż nareszcie upodobał sobie bagniste miejsce z małą wyspką w środku. Później, gdy wyrosło już kilka pokoleń, ludzie to miejsce nazwali Jonaraistis⁶. I tak rozrastało się królestwo i ludzie w nim byli szczęśliwi, bo Viltautas sprawiedliwie rządził i kochał swoich poddanych.

Medeina urodziła trzech synów i cała trójka miała sierścią pokryte stopy, ale rodzice z tego powodu nie rozpaczali. A ludzie nawet z szacunkiem zaczęli

³ Klevai – znaczy klony, Klejwy – wieś, w powiecie sejneńskim.

⁴ Vidugiriai – znaczy środek lasu, Widugiery – wieś, w powiecie sejneńskim.

⁵ Juodelišké – czarne miejsce, Jodeliszki – wieś, w powiecie sejneńskim.

⁶ Jonaraistis – składa się z dwóch słów Jonas – Jan i raistas – bagno.

nazywać rodzinę swojego króla Vilkapédžiai⁷ – Wilczostopi, co w języku litewskim znaczy ludzie z wilczymi stopami. Synowie Medeiny i Viltauta też pogodzili się z myślą, że ich dzieciom będzie przeznaczona ta sama dola – urodzą się z wilczymi stopami. Ale gdy pobrali się, i na świat przyszli wnukowie, rodziców i dziadków spotkało wielkie zdziwienie – niemowlęta nie miały sierścią pokrytych stóp.

Pewnie nasza miłość była mocniejsza od klątwy bogów – rozważali oni.

I niech tak będzie. Bo przecież tylko sami bogowie wiedzieli, że Medeina była ostatnią dziewczynką z narodu Viltautasa, którą Miły Król uratował od śmierci. Długie i piękne życie spędziła ta szlachetna para rozbudowując swoje królestwo wśród wielkich puszc litewskich, a po ich śmierci rodzili się i umierali ich potomkowie. Ale opowieść o przodkach z wilczymi stopami przechodziła z pokolenia na pokolenie, a jako dowód, że ona prawdziwa, do dziś została miejscowość o takiej samej nazwie: Vilkapédžiai – Wiłkopedzie.

⁷ Vilkapédžiai – składa się z dwóch słów vilkas – wilk i pėda – stopa.

Małgorzata Sporek-Czyżewska

Jagiena

Współpraca:

Urszula Korzeniecka i Julia Zdancewicz

Moja Babcia Jewdokia mieszkała daleko, w kraju kamienistym i jeziornym, jak lubił powtarzać mój Tata. Odwiedzaliśmy ją nieczęsto. Szczególnie uwielbiałam jeździć do niej latem, na wakacje. Wioska, w której mieszkała, leżała daleko od głównej drogi, pośród lasów i łąk. Wokół domu był nieduży ogród i stareńki sad, którego drzewa na koniec sierpnia oblepione były soczystymi owocami. Pewnego razu, mimo upalnego lata mocno się przeziębiam i z gorączką wylądowałam w łóżku. Babcia krzątała się wokół mnie.

– Och, gdyby Jagiena była na tym świecie, wszystko byłoby inaczej – szeptała, przykładając dłoń do mojego rozpalonego czoła i powtarzając po wielokroć imię Jagieny. Kiedy gorączka ustąpiła i czułam się lepiej, powiedziałam:

- Opowiesz mi o niej Babciu?
- O kim Słoneczko?
- O Jagieniu.

Babcia uśmiechnęła się, ale i zamyśliła.

– To było w odległych czasach, dawno temu, kiedy byłam taką małą dziewczynką jak ty... – zaczęła miękko opowiadać, a ja ułożyłam się wygodnie, wspierając głowę na poduszce opartej o krawędź łóżka.



– Tak, to było bardzo dawno. Nie wiem, czy ktoś może jeszcze ją pamiętać? Chyba tylko stare drzewa naszej Augustowskiej Puszczy szumią opowieść o niej, i to tylko wtedy, gdy mocny wiatr kołysze ich gałęziami.

...Jagieeeeeenaaa! Jagieeeeeenaaa!

– Niewiele o niej wiadomo..., że sierota, że nie wiadomo jak się tu znalazła, czy skądś przybyła, może jakaś obca... A wyglądała jak nasza. Jej strój nie różnił się wcale od stroju wszystkich kobiet we wsi. Nosiła skromny ciemny sarafan, a pod nim lnianą bluzkę, rubaszkę. Do tego ciemny, na czoło zsunięty płatok, tak że nie było widać ani jednego kosmka włosów. Codzienny płatok różnił się od odświętnych chust z ozdobnymi sznureczkami, kiściami, jakie zakładały starowierki idąc do molenny. Na nogach miała rozczłapane „łapcie”, jak mówiła na kalosze, którymi głośno szurała. Tak „zaciągała nogami”, kiedy poruszała się po swojej izbie z klepiskiem.

Wszyscy nazywali ją Jagiena, albo Baba-Jagiena. Była niewysokiego wzrostu, można rzec taka kruszynka. No i jej dom był malutki.

Jagiena żyła w oddaleniu – snuła swoją opowieść Babcia – na skraju wsi, na przeciw gęstego lasu, przy wąskim gościńcu, gdzie kończył się nasz wioskowy świat. My, ciekawskie dzieciaki z sąsiedztwa, uwielbialiśmy zaglądać do jej churtorku, bo był inny niż wszystkie we wsi, jakby zaczarowany. I dom jej małej był, przypominał stóg siana, któremu nasadzono daszek, jakby czapeczkę, a pomiędzy kołki stogu wstawiono deski tworzące ściany domku. Maluchna chatynka stała na góreczce przed brzózkami, tuż przy polnej dróżce prowadzącej donikąd.

Po przeciwnej stronie tej dróżki cienił się stary, gęsty las. Chatynka miała dwa małe okieneczka, a w izbie ceglany piec, łóżko i stoliczek. Puste ściany, tylko po wschodniej stronie umieszczona była ikona z palącą się woskową świecą.

Przed nastaniem zimy, Jagiena ciągała z pola zaczepione na sznurku gałęzie i patyki na opał. A od lata do jesieni w pobliżu jej chatynki górowały dorodne jesiony i rozrośnięte olchy. A dalej hen, teren był podmokły, same bagna, gdzie-niegdzie, to aż woda stała.

Za to przy samym domku już od wiosny kwitły niecodziennych rozmiarów kwiaty, nieznanne nikomu, intensywnie żółte, przypominające może dzikie dalie. Opierały się o ściany chatynki, wzajem się podtrzymując i ciekawie zaglądały do wnętrza przez małe okienka. A dalej rosły już tylko wysokie trawy, krzaczowiska, a także duże kołyszące się łopiany w towarzystwie dorodnych pokrzyw.

Na wiecznie ciepłym piecu Jagieny stał czegunnyj garszok, taki żeliwny garnek, który mógł służyć latami, bo dobrze trzymał ciepło i najlepiej nadawał się do warzenia naparów z ziół, gotowanych długimi godzinami. W izbie pachniało wilgocią i ziołami.

Skąd Jagiena znała tajemnicę ziół? Nie wiadomo.

Kto nauczył ją tej sztuki? Też nie wiadomo.

Takich sekretów uczą zazwyczaj matki i babki, bo to przez kobiety przekazywana jest najskrytsza wiedza o mocach uzdrawiających roślin, o tradycjach przyrządzania potraw, sztuki ich przechowywania. A ona sierotą przecież była. Musiała się w tym kryć jakaś tajemnica.

Jagiena lubiła sama chodzić do lasu, i to nie tylko by zbierać zioła i rośliny poukrywane głęboko w leśnym poszyciu. Wybierała się tam często w porze gdy ledwie świtało.

Zagłębiała się w niedostępne miejsca, żeby nikt jej nie widział i nie słyszał.

Tam pełną piersią śpiewała. Nigdy nie zapomnę jej śpiewu. To była pieśń osamotnienia, pieśń lamentująca, pieśń modlitwa rozpoczynająca się od słów: Umolijała mat' radnaja swoju miłuju ditija.

Śpiew Jagieny płynął z głębin jej serca i zmierzał wprost do nieba i wschodzącego na horyzoncie słońca. Gdy zakradałam się do lasu by jej posłuchać, czułam, że pragnęła, by pieśń była słyszana przez jej ukochaną matkę, którą wcześniej straciła.

– Nauczę cię kiedyś tej pieśni, Słoneczko – zwróciła się do mnie Babcia. Gdy ogarnie cię smutek, albo życie wyda ci się nieznośnie trudne, nie znajdziesz lepszego lekarstwa od tej pieśni. Nie raz ją w życiu śpiewałam i zawsze mi pomagała.

– A nie bałaś się do niej przychodzić? – zapytałam.

– Bałam się, a pewnie. I moi rówieśnicy też. Dlatego my, dzieciaki wioskowe, nieczęsto zapuszczaliśmy się na skraj wsi. Jednak ciekawość czegoś nieznanego, tajemniczego i niecodziennego rozpałała nasze umysły. Przecież ludzie gadali, że ona dziwna, nie wiadomo skąd się wzięła, taka sama, na uboczu... Siła naszej ciekawości była nie do opanowania. Przemieniłyśmy się w gromadkę ciekawskich, zapuszczających się tak blisko, jak to było możliwe, żeby ją podglądać. Z każdym dniem podchodziłyśmy coraz bliżej, aż dosłownie przemykałyśmy pod jej oknem.

Jagiena wiedziała o tych naszych dziecięcych wyprawach do jej „królestwa na uboczu”. Mimo, że lubiła swoje odosobnienie, przyzwyczaiała się do naszej obecności, czasem przyglądając się nam z oddalenia. Chyba nawet zaczęła rozpoznawać nasze sylwetki. Z życzliwością obserwowała Wanię, małego chłopczyka, najmłodszego spośród nas, który z trudnością doganiał gromadkę pozostałych.

Pewnego dnia Jagiena spostrzegła, że w naszej gromadce brakuje Wani. Wyjrzała ze swego okienka i zapytała:

– Gdzie jest chłopiec o lnianych włosach?

Tak to nas zaskoczyło, że nic nie odpowiedziałyśmy. Zaległa cisza.

– Ty, powiedz. – Nie, ty to zrób – szeptałyśmy między sobą.

– A może ty mi odpowiesz, Jewdokio? – Zdziwiłam się, że zna moje imię. Odważyłam się, zrobiłam krok do przodu i cichuteńko powiedziałam:

– Mały Iwan jest bardzo chory, uchodzi z niego życie – powtórzyłam to, co mówili dorośli.

Jagiena patrzyła na nas uważnie swoimi niebieskoszarymi oczami o jasnym, głęboko przenikającym blasku. Wyczytałam z nich, że bardzo przejęła ją wiadomość o chorobie Wani. Niepokój musiał wkraść się do jej serca, lecz nie dawała tego po sobie poznać.

– Przyjdźcie jutro rano, coś dla niego przygotuję – odezwała się stanowczo.

Gdy została sama, szurając po klepisku łapciami krążyła nerwowo po swej małej chatce rozmyślając, co ma uczynić. Widzę ją, jak z uwagą przegląda pęczki suszonych ziół wiszące nad kuchnią. Długo nic nie przychodziło jej do głowy. W nocy nawet na chwilę nie zmrużyła oka. Aż nastał świt. Niespodziewanie zerwał się wiatr i jego silny podmuch otworzył okno, gnąc rośliny i szeleszcząc ziołami. I nagle stało się coś nieoczekiwanego – Jagiena poczuła ogromny ciężar w swojej prawej dłoni. Ręka zaczęła jej rosnąć, a przedramię wysuwać się, niczym długi kij zakończony dłonią. Pewnie chwyciła w nią garść żółtych kielichów tych dzikich kwiatów, co przypominały dalie, i mocno trzymała swą zdobycz. A potem, jakby nigdy nic, ręka powróciła na swoje miejsce.

Jakiś głos, z siłą nieznoszącą sprzeciwu, dyktował Jagienie co powinna robić, podpowiadał kolejne kroki w działaniu. Słyszała też głos chłopca proszącego o pomoc. Nie oglądając się na nic, krzątała się po chatynce jak nakręcona,

wykonując czynności, które głos jej nakazywał. A jej usta, jak w transie, po wielokroć powtarzały słowa: *Gospodi Pomiłuj, Gospodi Pomiłuj, Gospodi Pomiłuj...* Potem mówiono we wsi, że to było jej zagoworywanie, jakby jej usta szeptały coś w melodyjnym zaśpiewie, jakby rytmicznie coś zaklinały.

Widzę ją też jak chwyta garnek żeliwny, rozpala ogień, wrzuca do niego garść zerwanych kwiatów, sięga po pęki suszonych leśnych ziół i gotuje, i gotuje, i gotuje. Niezwykłej mocy zapach wydobywa się z saganka, wypełniając wnętrze chatynki, wydobywa się też na zewnątrz i jego słodycz rozchodzi się po okolicy.

Następnego dnia o poranku, jak prosiła nasza gromadka stawiała się przed nią.

Biegliśmy co sił w nogach, w oczach kręciły się łzy, bo stan małego Wani się pogorszył, gorączka nie odpuszczała, leżał w łóżku bez sił, a rodzina spodziewała się najgorszego.

Jagiena wszystko wyczytała z naszych oczu i pobiegła do stojącego na kuchni saganka. Po przelaniu jego zawartości do butelki, podeszła do nas i stanowczym głosem nakazała:

– Niech Wania wypije tę miksturę. Ma ją pić codziennie, zaraz po zachodzie słońca, aż do czasu, kiedy choroba ustąpi.

I ustąpiła.

Nasz Wania znów był zdrow.

Wiele jeszcze innych tajemnic krążyło wokół Jagieny – ciągnęła opowieść Babcia, uprzedzając moje pytania.

– Na przykład ten niezwykły zapach, jaki roznosił się z jej chatynki. Jego moc wypełniała powietrze i niczym ogromna niewidzialna chmura już po chwili spowijała całą okolicę. Miał on w sobie niewysłowioną słodycz, z niczym nieporównywalną. Żadne określenia słowem nie wystarczyły, by wyrazić jego niezwykłość.

Czując ten zapach w powietrzu, ludzie wychodzili ze swych domostw, rozglądali się po świecie z niedowierzaniem, ich serca wypełniała radość i kojący spokój, a na twarzach gościł niewymuszony uśmiech. Zapach rozprzestrzeniał się, przenikał do najmniejszych zakamarków. Wpływał nie tylko na ludzi, ale i na zwierzęta. Oto koty rozciągały się leniwie, psy przestawały ujadać, krowy ryczeć, a ptaki wyśpiewywały radosne trele.

– Dzień dobry, zdrastwujcie, Mir z Wami – czując ten zapach wołał radośnie zawsze burkliwy sąsiad, który zazwyczaj rozpoczynał dzień od narzekania na świat i ludzi.

Takie uśmiechnięte i radosne poranki zaczęły zdarzać się coraz częściej mieszkańcom naszej wsi, oddalonej od głównych dróg, ukrytej pośród puszczy i lasów. Podróżnych widywało się tu rzadko, czasem jakiś zbłąkany powóz wzbijał tabuny kurzu na piaszczystej drodze. Tak było i tego dnia, gdy z przejeżdżającej kołasy wyjrzała Pani w białej sukni i obszernym kapeluszu na głowie. Rozglądając się wokół ciekawie, rzekła:

– Czy to jakaś kraina szczęśliwości ukryta w lesie? Wszyscy tu mili i uśmiechnięci, a zapach jakby nie z tej ziemi.

– Nie, to nasza Jagiena sołoduchu warit – odpowiedzieli jej ludzie, wskazując na chatynkę na skraju wsi.

– A jak ona gotuje, to świat się raduje – dodawali chórem inni, siedzący przed domami na ławeczkach.

I zanim przyjeżdża Pani się obejrzała, już otoczyły ją kobiety by obdarować ją kwiatami nazrywanymi w swoich ogrodach.

Wieść o uzdrowicielskich mocach Jagieny szybko rozeszła się po okolicy. Do chatynki na kraju świata zaczęli przybywać ludzie potrzebujący pomocy, nieszczęśnicy, chorzy liczący na uzdrowienie.

Jagiena – cierpliwie i bez wytchnienia gotując ziołowe napary i inne mikstury – zawsze przypominała sobie to, co przytrafiło się jej przy uzdrawianiu małego Wani o lnianych włosach. Każdej nocy, kiedy była w służbie potrzebującym pomocy – tak, jak wówczas – jej dłoń wysuwała się na długim jak kij przedramieniu, by schwycić właściwy kwiat, by potem w saganie gotować pachnącą miksturę. Dłonie Jagieny zmieniały się, stając się coraz bardziej pomarszczone, stare, a jednocześnie lekkie i przezroczyście jak skrzydła ważki.

– Pamiętam – coraz cichszym głosem mówiła Babcia, jakby chciała, abym przysunęła się do niej blisko – że podczas odwiedzin zastawałam ją siedzącą na ławeczce przed domem i wpatrującą się w swoje dłonie, coraz bardziej przypominające zmięty papier przez który przebijało się światło. A może jeszcze co innego? Jakby one same były światłem albo jakby to ona użyczyła swoich dłoni światłu...

Zastanawiające było, co to może oznaczać? Dlaczego się tak dzieje? Czy drzemie w tym jakaś tajemnica?

– Czy starczy mi rąk? – powtarzała z niepokojem Jagiena.

Coraz bardziej lubiłam do niej przychodzić. Najwierniej odwiedzaliśmy ją właśnie my, to znaczy ja Jewdokia i mały Wania, ten o lnianych włosach. On cały czas przytulał swą głowę do dłoni Jagieny, które go wyleczyły.

Cieszyła się ją nasze odwiedziny, czekała na nas z radością, spędzaliśmy razem z nią całe dnie pomagając w codziennej krzątaniu. W wiosce zaczęto nazywać nas „wnukami Jagieny”.

Na tych słowach opowieść Babci nagle urwała się.

– Babciu, co było dalej, powiedz?

– Dalej przyszły trudne wojenne czasy, wielu ludzi z naszych wiosek było zmuszonych wyjechać, opuścić swoje miejsce, iść na wygnanie. Wyruszyliśmy i my.

Smutne to były czasy. Nie wszyscy powrócili szczęśliwie do domu.

Kiedy nasza rodzina znalazła się znowu w Gabowych Grądach, nie zastaliśmy już Jagieny.

Znowu niewiele o niej wiedziano, co się z nią stało? czy wyjechała? czy nie wróciła?...

– Babciu, a pokażesz mi gdzie mieszkała Jagiena?

– O, tego domu dawno już nie ma. Wycięto drzewa, wszystko zarosło dziką łąką. A i ten las przy dróżce nie ten sam. Tylko czasem gdzieniegdzie zakwitnie zabłąkany i samotny żółty kwiat na długiej łodydze, przypominający dalie. Wszystko wygląda tam teraz inaczej. Nawet bagniska powysychały.

– Ale zabierzesz mnie tam, prawda? – dopytywałam.

Babcia spojrzała na mnie przytomnym wzrokiem.

– Obiecujesz Babciu?

– Obiecuję, ale najpierw musisz wyzdrowieć.

– To już daj mi tego swojego gorzkiego syropku – powiedziałam pojednawczo.

Zasypiałam widząc Jagienę krzątającą się po chatynce, szurającą łapciami po klepisku.

Teraz wiedziałam już na zawsze, że ludzie, choć ich nie ma na tym świecie nie znikają tak po prostu.

Są z nami tak długo, jak długo przechowuje ich nasza pamięć.

Tak jak Jagiena pozostała na zawsze w sercu i pamięci mojej Babci Jewdokiji.

A teraz także w mojej pamięci.

Janina Osewska

O dobrej Sejnie i złej Marysze

Współpraca:

Hanna Makowska i Miłosz Ramel

Na jednym z wielu pagórów stał majestatyczny i niedostępny klasztor. Jego wysokie i strzeliste wieże widać było ze wszystkich dookolnych dróg i domostw. Szczególnie nocą, gdy światło księżycy odbijało się w złoceniach wież. Wokół budowli rosły potężne wiązy. Były stare i mocne. Pamięć o dobrych i złych wydarzeniach nosiły w odradzających się co roku liściach. Soczysto-zielone, w kształcie elips codziennie o zmierzchu łąły łyzy. Powstawał z nich strumień, który pewnego dnia spłynął ze wzgórza pod stopy dziewczynki o imieniu Sejna. Ta dobra dla ludzi i czuła na piękno przyrody dziewczynka zamarła ze zdumienia. Kiedy z błękitnej strugi swoimi dłońmi zaczerpnęła wody okazało się, że ta jest ciepła i słona. Jak ludzkie łyzy.

– Dlaczego wodo jesteś słona? – zapytała Sejna.

Strumień milczał. Zaciekawiona dziewczynka nie dała za wygraną i poszła wzdłuż jego tajemniczej wstęgi aż na wzgórze. Towarzyszyły jej pszczoła Gloria i sójka Sara, które przysiadły na jej prawym i lewym ramieniu. Gloria od czasu do czasu odlatywała po pyłek, który umieszczała w koszyczkach na swoich tylnych

nózkach. Lubiła siadać na kwiatach facelii błękitnej, nostrzyka żółtego, ostrożnia polnego i innych miododajnych roślinach uprawianych u podnóża klasztoru. Sara odfruwiała na krótko. Tylko w poszukiwaniu jedzenia. Wtedy dumnie kroczyła przed swoją przyjaciółką i mocnym dziobem wyciągała z gęsto utkanej trawy pędraki, dżdżownice i inne stworzenia. Sejna, która dobrze znała zależności w przyrodzie, nie oburzała się na zachowanie Sary. Wiedziała, co to jest łańcuch pokarmowy.

– Wiązy, wielkie wiązy dlaczego płaczecie? – zapyta Sejna, po dotarciu na wzgórze.

– Uciekaj stąd Sejno, bo za chwilę przybędzie tu zła dziewczynka o imieniu Marycha – chórem odpowiedziały drzewa.

– Dlaczego ona jest zła? – zaniepokoiła się Sejna.

– Marycha regularnie przychodzi na wzgórze, aby zrywać nasze liście na wywary, do których dodaje Elik sir Zła i podaje go swoim najbliższym. Mówi wtedy do siebie, że będzie dziedziczką wielkiego majątku rodziców, który graniczy z klasztorem! Krzyczy też: jestem najważniejsza! Jestem najlepsza!

– O, właśnie nadchodzi by znowu nas okaleczać, uciekaj Sejno!

Dziewczynka się ociągała. Aby zapobiec spotkaniu Sejny z Marychą największy z wiązów wziął ją w swoje ramiona i przrzucił przez mur okalający klasztor. Spadła na dziedziniec. Zakłóciło to ciszę klasztoru i modlitwy mnicha Justyna Dobromira. Kiedy wyjrzał on przez okno zobaczył skręcone w wiór drobne ciało dziecka oraz sójkę i pszczołę, które jak dzwonki nad nią wisały.

– Co tutaj robisz mała istoto? – zapytał.

– Wrzuciło mnie tutaj drzewo w obawie przed spotkaniem z Marychą – powiedziała nieśmiało.



Mnich, z racji posiadanych umiejętności przewidywania przyszłości, wiedział o wszystkim, co się stanie. Postanowił sprowadzić do klasztoru Marychę, a przyjaciół Sejny, pszczołę Glorię i sójkę Sarę, wysłać z misją po Elixir Zła, który był w posiadaniu Marychy. Pszczole powierzył Pyłek Dobra, który umieściła w koszykach na swoich nóżkach, a sójce kroplę Dobrej Wody do jego rozpuszczenia. Zadaniem misjonarek była zamiana Elixiru Zła na Dobrą Wodę z Pyłkiem Dobra. Gdy wysłanniczki poleciały mnich poszedł po Marychę, by przyprowadzić ją na dziedziniec klasztoru. Choć nie było mu łatwo ją przekonać, to w końcu oboje znaleźli się na dziedzińcu klasztoru.

Obie dziewczyny stanęły twarzą w twarz. Uśmiechnięta Sejna o błękitnych oczach i długich, jasnych włosach i Marycha, pochmurna jak niebo przed burzą z wrogim spojrzeniem czarnych oczu.

– Nie jestem twoim wrogiem, chcę z tobą porozmawiać – powiedziała Sejna.

– Nie będę z nikim rozmawiała – krzyczała i wymachiwała rękami Marycha. Jej krzyk poruszył liście wiązków i dodawał szybkości obłokom zasłaniającym słońce.

– Porozmawiaj z nami, proszę – zachęcał Justyn Dobromir.

Opowiedz, o swojej Złości. Dlaczego zagnieździła się w tobie? Co takiego się stało, że pozwalasz jej tam być i rosnąć? Przecież widzę, że stała się kamieniem, który rozpiera twoje serce i duszyczkę.

Marycha wysłuchiwała próśb Mnicha. Nieufnie spojrzała na niego i Sejnę. Przystała krzyczeć i zaczęła mówić.

– Jestem samotna – szepnęła i zaraz zamilkła.

– Dlaczego, przecież mieszkasz z rodzicami i rodzeństwem w pięknym domu u podnóża klasztoru? – zapytała Sejna.

– Tak, to prawda. Ale nikt mnie tam nie rozumie, nie chce usłyszeć o moich uczuciach, rozterkach, wątpliwościach! Nikogo z domowników nie interesuje moje życie! Jestem dla nich powietrzem! Dlatego z soku liści wiązów i ze swojej Złości wytwarzam eliksir Zła i daję im do picia.

– Rozumiem, masz prawo tak czuć, ale twoje zachowanie nie jest dobre – tłumaczył starzec.

– A co mam zrobić, aby czuć się kochaną, akceptowaną i nie czuć się samotną? – pytała Marycha.

Powiedz nam, co zrobiłaś, żeby tę sytuację zmienić? – zapytał mądry mnich.

– A co mam zmienić? To oni są źli – znowu rozkrzyczała się Marycha i chciała uciec. Powstrzymała ją Sejna.

– Zaczekaj Marycho, chcę cię wysłuchać – powiedziała. Chcę zostać twoją przyjaciółką – dodała.

Marycha zaczęła opowiadać Sejni o swoich problemach związanych z samotnością, a ta uważnie słuchała. Z opowieści wynikało, że Marycha, jak przewidywał mnich Justyn Dobromir, nie dała nic z siebie, aby relacje z rodzicami i rodzeństwem zmienić. Była obojętna na ich czułe przytulenia, zachęty do wspólnej zabawy czy pracy. Niechętnie brała udział w wyprawach na wieczoryny do sąsiadów, podczas których opowiadano sobie ciekawe historie rodzinne. Nie interesowało ją nic poza samą sobą.

Rozmowa z Sejną i Justynem Dobromirem przekonała Marychę, że każdą zmianę należy zacząć od siebie. Wtedy okoliczności sprzyjają, a sprawy nabierają innych barw.

W czasie, gdy dziewczynki rozmawiały, Gloria i Sara zamieniły Elixir Zła na Dobrą Wodę z Pyłkiem Dobra i postawiły pomiędzy siedzącymi na dziedzińcu

klasztoru dziewczynkami. Pszczoła i sójka usiadły na gałęzi pobliskiego, młodziutkiego wiązu i obserwowały.

– Dziękuję ci Sejno, że mnie wysłuchałeś – powiedziała Marycha i zwróciła się w stronę mnicha.

– A tobie Justynie Dobromirze dziękuję, że zapoznałeś mnie z Sejną, od dzisiaj moją przyjaciółką – powiedziała.

Sejna przytuliła Marychę. Jej dobre ciepło przepłynęło przez ciało Marychy. Poczuli się bezpiecznie.

– Napij się Dobrej Wody z Pyłkiem Dobra – zachęcała Sejna swoją nową przyjaciółkę – i zanieś ją swoim bliskim – dodała.

– Tak zrobię droga Sejno – odpowiedziała Marycha.

W rozmowę dziewczynek zasłuchał się mnich i każdy liść wiązów porastających wzgórze. Zapadła głęboka cisza. Następowala przemiana.

Marycha zrozumiała, że człowiek jest samotnym, gdy nie kocha i ma złe relacje z innymi.

O tej pory obie dziewczynki spotykały się co dzień na dziedzińcu klasztoru. Rozmawiały i uczyły się od Justyna Dobromira sztuki rzeźbiarskiej. Wystrugały razem postać pięknej i Dobrej Madonny, którą pomalowały naturalnym barwnikami zrobionymi z pyłków uzbieranych przez pszczołę Głorię i kropel rosy przyniesionych przez sójkę Sarę. Madonna zamieszkała na jednym z ołtarzy klasztornej kaplicy.

Okoliczni mieszkańcy dobrze znali historię narodzonej przyjaźni i postanowili ją upamiętnić nazywając strumień z wiązowych łąz Sejna, inaczej Marycha, który stał się piękną rzeką o dwóch imionach.

Agata Tuszyńska

Baśń Zosieńki

Współpraca:

Zofia Kondzielewska i Lena Wiśniewska

Dawno dawno temu, kiedy na niebie nie wyhaftowano jeszcze wszystkich gwiazd, a na ziemi nie wyżłobiono wszystkich dróg, nie było map, zasieków ani płotów, nikt nie bał się być tym, kim był, a każdy mógł być każdym. Modlono się do różnych istot, ale też do świtu, który niósł nadzieję i do zmierzchu, który kołysał do snu. Każdy dzień był czystą kartką papieru i było ich dla wszystkich pod dostatkiem.

Tak mogłaby zaczynać się nasza baśń, każda baśń, w której króluje dobro. Ale my zaczniemy ją inaczej, bo czas płynie jak rwąca rzeka i jesteśmy już w innym miejscu.

W małym miasteczku, gdzie spotykają się ze sobą różne granice, a z daleka króluje świecący bielą kościół i wszystkie drogi prowadzą do serca rynku, gdzie kiedyś stały sukienice, a dziś zielono mieni się trawnik, mieszkała ze swoją rodziną Zosieńka. Miała osiem lat i mówiła o sobie, że jest dorosła. Nosila warkocze związane czerwoną tasiemką z niciaka prababci, nieco za duży niebieski sweter i zbyt obszerną spódniczkę w granatowo-białą kratę. Ten strój ukrywał jej dziecięcość i trochę za długie nogi i ręce. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie dorosła, bo stale słyszała: jak będziesz dorosła, to zrozumiesz. Kochała opowieści

prababci. Mimo swojego wieku, wiele pamiętała i często wracała do wspomnień z dawnych lat. Wnuczka lubiła jej słuchać. Uważała na każde słowo.

Rodzina Zosieńki mieszkała w drewnianym domu z ganeczkiem. Dziewczynkę niezmiennie dziwiło, że już w końcu czerwca tata otwierał dach werandy.

– Trzeba wpuścić Lato do naszego domu – mówił, a Zosieńka wyobrażała sobie jak dorodna Pani Lato rozsiada się w fotelu i uśmiecha się do świata mieniając się wszystkimi barwami astrów, chabrów i nagietków, maków, floksów, niezapominajek... Jej prababcia mruczała wtedy pod nosem: Tak jak to robił Andzik, tak jak to robił Andzik... Dziewczynka na sobie tylko znaną melodię śpiewała wtedy – Aaandzik, Aaandzik, Aaandzik! I widziała, jak się uśmiechał.

– Co mi tu babcia będzie jakiegoś Andzika wołać, niech babcia przestanie – zniecierpliwionym głosem uciszała prababcie mama, wycierała ręce w fartuch i wracała pośpiesznie do kuchni, gdzie w wielkim żeliwnym garnku smażyła konfiturę z wiśni.

Dziewczynka nuciła swoją piosenkę andzikową i kręciła się dookoła, a jej spódniczka wirowała prześlicznie. Aż wreszcie zmęczona siadała na ganku, obok swojej prababci, która w bezruchu wpatrywała się w dal. Zamierała wtedy, jakby zmieniała się w słup soli. Zosieńka czuła strach. Jak można tak znieruchomieć? Czasem machała rękę przed oczami prababci, by sprawdzić, czy zareaguje. Ale ona ani drgnęła, chyba nawet jej oddech spowalniał. Dziewczynka biegła wtedy czym prędzej do taty, szepcząc mu na ucho, że prababcia znowu gdzieś poszła! Tata uśmiechał się łagodnie i tłumaczył – zaraz wróci, Zosieńko, zaraz wróci, odwiedza swoich pomarłych żydowskich sąsiadów.

Dziewczynka zasypywała wtedy tatę pytaniami. Ale... gdzie sobie poszła, kogo odwiedza, kim są żydowscy sąsiedzi, czy widzi też dzieci, czy odwiedza



Andzika? Ojciec spokojnie odpowiadał: jak będziesz dorosła, wszystko zrozumiesz. A teraz leć do ogrodu i nazbieraj porzeczek.

– Ja jestem już dorosła! – wykrzykiwała dziewczynka i wybiegała z domu wprost do ogrodu. Czuła ciepło lata, słyszała śpiew ptaków, zadzierała głowę ku górze, aby popatrzeć na loty jaskółek, które uwiły sobie gniazda w stodole. Wołała do skowronków, gołębi, żurawi – jestem dorosłaaaaaa! A z daleka, za stodołą, widziała bożnicę. Bardzo lubiła patrzeć na ten „inny kościół”, jak mówiła jej mama, kościół w którym kiedyś modlili się Żydzi.

– Kto to są ci Żydzi, to Andzik też jest tym Żydem? – pytała wielokrotnie – a mama ją poprawiała mówiąc: byli, córeczko, byli. Jak będziesz dorosła, to wszystko zrozumiesz.

Jej prababcia zawsze wtedy zaczynała się bujać w swoim ulubionym, już bardzo zniszczonym fotelu, a siedząc, opierała się o wytartą, haftowaną w czarno-czerwone kwiaty poduszkę. Zosieńka wyobrażała sobie, że Żydzi są aniołami z wielkimi skrzydłami, że przylatują do ich domu i że jest wśród nich Andzik, którego skrzydła są z najpiękniejszych białych piór. Widziała, jak zagląda przez okienka do domu i macha do prababci skrzydłem, a ona staje się wtedy małą dziewczynką i leci z nim nad domem, hen wysoko do nieba. Co tam robili? O czym rozmawiali? Czy zwiedzali chmury, czy zaświaty?

Dziewczynka czekała każdej soboty, bo wtedy, pod wieczór były same w kuchni, przygotowywały drożdżowe ciasto na niedzielę. – Babciu – opowiedz mi o tych Żydach, prosiła. Opowiedz mi o ich kościele, o świętych zwojach, o rugelach. I gdzie oni wszyscy są, gdzie powyjeżdżali. Babcia miesiła ciasto i cichutkim głosem szeptała: – Kiedyś ci wszystko opowiem. Tak bym chciała, żebyś ich zobaczyła! Tak bym chciała ich jeszcze raz zobaczyć, tak mi za nimi tęskno, widzę ich tylko w snach!

Dziewczynka powtarzała za prababcią: Tak bym chciała ich zobaczyć! Tak bym chciała ich zobaczyć, tak mi za nimi tęskno, tak bym chciała zobaczyć ich w snach. Prababcia obejmowała wnuczkę i szeptała jej do ucha: – zobaczysz ich kiedyś, wszystko ci kiedyś opowiem, ale teraz mamy upiec ciasto! Nie zapomnij o rodzynkach.

A gdy wkładała do pieca chlebowego drożdżówkę, poprosiła dziewczynkę, aby sprawdziła na zegarku czas. – I trzeba by w końcu, po latach, nakręcić zegar w salonie – powiedziała na koniec prababcia drepcząc na ganek. Opadła na fotel. Widać było jak przymyka powieki i zasypia. Zbliżał się wieczór.

Dziewczynka знаła się już na zegarku, dostała go na komunię świętą od matki chrzestnej. Ale o zgrozo, właśnie zauważyła, że jej zegarek stanął.

– Tatusiu, tato! Z progu domu głośno zawołała do ojca, który zbierał jabłka w sadzie. Było ciepło, pachniało koszonymi łąkami i świeżym sianem. Która jest godzina?

– Późno już, córeczko, zaraz ósma.

Dziewczynka przybiegła do taty, chwyciła go za rękaw szarej koszuli, która jeszcze wczoraj wisiała na sznurze na podwórku, obok spodni, sukienek, bielizny i poprosiła.

– Musisz mi tatko szybko nakręcić zegarek, bo babcia nie będzie wiedziała, kiedy wyjąć ciasto.

– Na moim zegarku jest godzina 19.15 i taką nastawiam w twoim. 19.15, nie już 19.16. Leć do domu, bo niedługo mama wróci z mszy i będzie zła, że nie jesteś jeszcze w łóżku. Zaraz noc i nie obudzisz się na czas do kościoła. Tata cmoknął córkę w czoło i wrócił do swoich złotych renet i malinówek. Dziewczynka w podskokach pobiegła do domu. Prababcia spała w najlepsze. Była 19.27.

W największym pokoju, który rodzice nazywali salonem, na ścianie obok dużego obrazu świętego, z Maryją i dzieciątkiem i obrazka komunijnego Zosiętki, wisiał brązowy zegar. Miał rzeźbioną koronę i pęknięte szklane drzwiczki. Dziewczynka otworzyła je i znalazła niewielki kluczyczek. Ciekawe, kiedy ostatni raz ktoś nakręcił ten czasomierz? Nigdy nie widziała, aby zegar chodził, nie słyszała jego tykania, ani bicia. Nie znała głosu.

Nakręcę go, nakręcę – podśpiewywała sobie pod nosem. Tylko, jak się to robi? Szybko znalazła dziurkę na wypukłym, zdobionym cyferblacie. Włożyła w nią kluczyczek i przekręciła kilka razy. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

Najpierw zakręciło się jej w głowie. A potem zaczęła lecieć, lecieć wysoko. Świat z góry wyglądał inaczej. Był jak układanka z klocków, domy, dachy, studnie, kościoły, bóżnice, kaplice, pola, sady, lasy. Wszystkiego było więcej i wszystko widziała równocześnie. Jakby ktoś kierował jej lotem, jakby chciał jej pokazać swój świat. Ale przecież to było jej miasteczko. Znała je. Czy znała?

Musiał być dzień targowy, bo na rynku stały furmanki z końmi, ulice dookoła wypełniali szczerlnie ludzie, na podwórzach bawiły się dzieci. Z daleka wszyscy wyglądali jak poruszające się w ulu mrówki, potem rozpoznawała kolejno główną ulicę, szkołę, piekarnię, ogrody, pastwiska, linię lasu. Aż dotknęła nogami znajomego bruku.

Znalazła się na placu, wokół wozów z ziemniakami i kapustą, nieopodal handlowano końmi, lepiły się do siebie stoiska z jarzynami, owocami i nabiałem. Kupcy nawoływali klientów do antonówek i koszteli, do cebuli i czosnku, do kur i indyków. Pochłonął ją tłum, któremu przysłuchiwała się z ciekawością, bo nie rozumiała jego języka. Rozbrzmiewał nieznanym gwarem, głosami śpiewnymi i chrapliwymi, wołającymi o uwagę dla własnych produktów, wyrobów, towarów. Po polsku, po litewsku, po...

Zachwalali bajgle, chleb razowy i placek z kruszonką. Sprzedawali gwoździe, sznury i łapki na myszy. Spodnie i kalesony, trzewiki i marynarki z samodziału. Każdy krzyczał swoje. Kupcy zaczepiali dziewczynkę proponując „panieneczce” bluzeczkę z bufkami albo wełniany płaszczyk.

„Niech panienka spojrzy, cudeniko, nie sukienka. Jak księżniczka panienka wygląda. Będzie zadowolona. Do wesela posłuży, a i potem się przyda. Może nawet trochę szczęścia przyniesie. Panienka będzie miała dobry los”. Nikt tak do niej wcześniej nie mówił.

Chciała, żeby miał rację ten pan w czarnym stroju i małej czapeczce na głowie. Nie zdążyła mu odpowiedzieć, ani podziękować. Znowu coś zawirowało i nagle znalazła się na swoim podwórku. Wyglądało podobnie, tylko drzewa były mniejsze i inna buda dla psa. Obok bawiło się dużo dzieci, których nigdy wcześniej nie widziała. Blade, rude, czarnowłose, z warkoczami i bez, krucze i płowe. – Andzik, Andzik, teraz ty! Teraz ty – wołały. Grały w berka i w chowanego. Chwilę stała z boku, ale zaraz przyłączyła się do ich.

„Kto się nie schowa, ten kryje, raz dwa trzy, szukasz ty”... Rozpierzchały się szukając kryjówek za stodołą, pod gruszą, niedaleko kurnika. Jedna z dziewczynek zawołała ją z daleka po imieniu. Miała oczy jej prababci, a może się jej tylko wydawało? Więcej jej nie widziała. Ale za to wziął ja za rękę mały chłopiec o miłym głosie i orzechowym spojrzeniu.

– Jak masz na imię? – zapytała, ale nie usłyszała odpowiedzi w narastającym gwieńku. To, co powiedział brzmiało jak „nikt” albo „nie wiem”. Znowu zaczynało wirować powietrze, owoce i drzewa. Opadały liście. Frunęli albo biegli, jakby kurczył się czas i trzeba było zobaczyć wszystko, co dookoła. Chłopiec przedstawiał ją rodzicom i dziadkom, sąsiadom i ich wnukom. To jest rabin, a to szewc, krawiec,

student jesziwy i członek bractwa pogrzebowego. Zapamiętaj, mówił, zapamiętaj. Patrz na te księgi i te litery, na mykwę, kjojzy i szabasowe światło. Powszedni dzień wypełniony był potem i znojem, ale pod spodem wzbierał jakiś tajfun.

Zosieńka czuła, że jest tu po coś, że ma misję. Nie bardzo wiedziała, na czym ma ona polegać, ale postanowiła, że wszystko zapamięta. Zapisze w sobie, tak, żeby w każdej chwili mogła opowiedzieć innym. Opowiedzieć o nich. Jak jedzą, jak handlują, jak się modlą. Zobacz, mówił chłopiec, jest 1927 rok, ale u nas to znaczy 5000 i jeszcze więcej. Rachuba zaczyna się od stworzenia świata, a rok w jesiennym miesiącu tiszri. 5462? Czy to możliwe, a może się przesłyszała?

Nie wiedziała, jak należy pamiętać? Próbowała zatrzymywać obrazy, jak na fotograficznej kliszy, jeden za drugim. Dom, targ, podwórze, piec, kolacja, cienie świec, twarze... dzieci, starcy, kuśnierz, czapnik, pani majstrowa. Pamiętanie to praca, myślała, kiedy przed jej oczyma przesuwały się kolejne pejzaże i portrety. Przechodzili, odchodzili, znikali za horyzontem jej wzorku. Jesteśmy, zobacz, wołał chłopiec, byliśmy. Dasz radę o tym opowiedzieć? O szabacie, gęsim pipku i czosnku, o zegarmistrzu, który darowywał tylko dobry czas i jego bezdziejnej żonie, o młynarzu i pomocniku piekarza, o Ryfce, o jej synu muzykancie... O naszych postach, witaniu księżycy, powstrzymywaniu się od pracy. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem, zobacz, zapamiętaj. Nasze pieśni dziękczynne ku chwale Tego, którego imienia się nie wymawia i nasza żałoba. Zostanie po nas puste miejsce.

Pamięć to praca, ale ty się pracy nie boisz, prawda, Zosieńko? Nie boisz się, jesteś już dorosła...

Po chwili wszystko znów zaczęło wirować, jak wtedy, kiedy się jej objawiło. Domy i chaty, ogródki i pola, sypały się talerze ze stołów, lało mleko z kubków i kocich misek, kruszyły się lustra. W wielkim tańcu kręcili się wszyscy, uciekali

i grali w chowanego. Wojna, krzyczeli, wojna. Nie wiedziała, kto ich gonił i dlaczego, kto wybijał szyby w oknach i strzelał. Biegła z nimi, a jednocześnie widziała ten obraz z daleka. Jesteśmy – krzyczeli, jesteście – powtarzała. Nasilało się kołysanie i lęk. Ktoś zawodził: Sądny dzień, sądny... Krzyczała. Obudził ją dźwięk bawolego rogu.

Babcia siedziała przy jej łóżku i coś szeptała cichutko. Gładziła sękatą ręką włosy Zosieńki i patrzyła na nią z miłością. Moja wnusia, powtarzała, moja dorosła. Już wiesz, teraz już wiesz. Wydawała się być z niej dumna.

To było dawno temu, na niebie widniały już liczne konstelacje gwiazdozbiorów, z Wielką Niedźwiedzicą, Skorpionem i Żółtą Rybą. Ci, którzy byli na ziemi musieli na gwiazdy zasłużyć, dobrym uczynkiem albo tęsknotą. Ich losy zapisywano złotymi literami na płótnach pór roku. Wystarczyło jedynie nauczyć się czytać. I pamiętać.

Krzysztof Czyżewski

Piastunka Dobrej Pamięci

Współpraca:

Iza Maksimowicz i Patryk Jankowski

Było jeszcze ciemno, gdy otworzyły się oczy Krasnogrudy. Kiedyś, będąc dziewczynką, zbierała w nich całe bogactwo zielonych odcieni łąki. Wiele wody upłynęło od tego czasu w Strumieniu Niepamięci. Pochyliła się nad nim by obmyć ze snu oczy, teraz już pięknie postarzałe, do jednego naczynia zlewające miłość i mądrość, szaroszmaragdowe. Odkąd zamieszkała w Dolinie Issy, budziła się o tej porze, gdyż ptaki, które w niej gniazda swe wiły, musiały zdążyć na pierwszy dzwonek brzasku.

O brzasku Krasnogruda rosiła świat ptakami. Czuła jak z jej ust rześko zrywa się wilga, a spod powiek jasnowidzący zimorodek; jak z długich jej włosów wypłatają się stęsknione za podniebnym tańcem języki, a spod ucha wygrzebuje niewyspany po miłosnej nocy słowik; jak pod sercem budzi się kukułka i jeszcze dłuższą chwilę wtula w ciepłą od snów poduchę brodawki; jak z piersi wzlatują orlik i czapla, umawiając się na schadzkę na wyspie Gaładusia, a spod skroni para zakochanych kruków jeszcze ciepłych od nocy; jak z rękawów lotem strzały wylatują kosik i czarny dzięcioł, a za nimi wiecznie spóźnione sójki; jak spod spódnicy wysypują się tkliwe sikorki, skoczne grubodzioby i trznadle

poplamione miodem; jak spod jej stóp zrywają się skowronki, prawie niewidocznymi od trzepotu skrzydełkami zawisając wysoko w górze, cierpliwie czekając aż ucichnie rejwach przebudzonych żurawi, a potem płucząc ochryple gardła radosnym śpiewem. I jeszcze wiele innych ptaków wlatuje z Krasnogrudy, podczas gdy ona obmywa nogi w Strumieniu Niepamięci. Zanim owinie się w sutą tkaninę letniej łąki, ułożą się w niej do snu rękoskrzydłe nietoperze i potarczuki zrodzone z dusz umarłych.

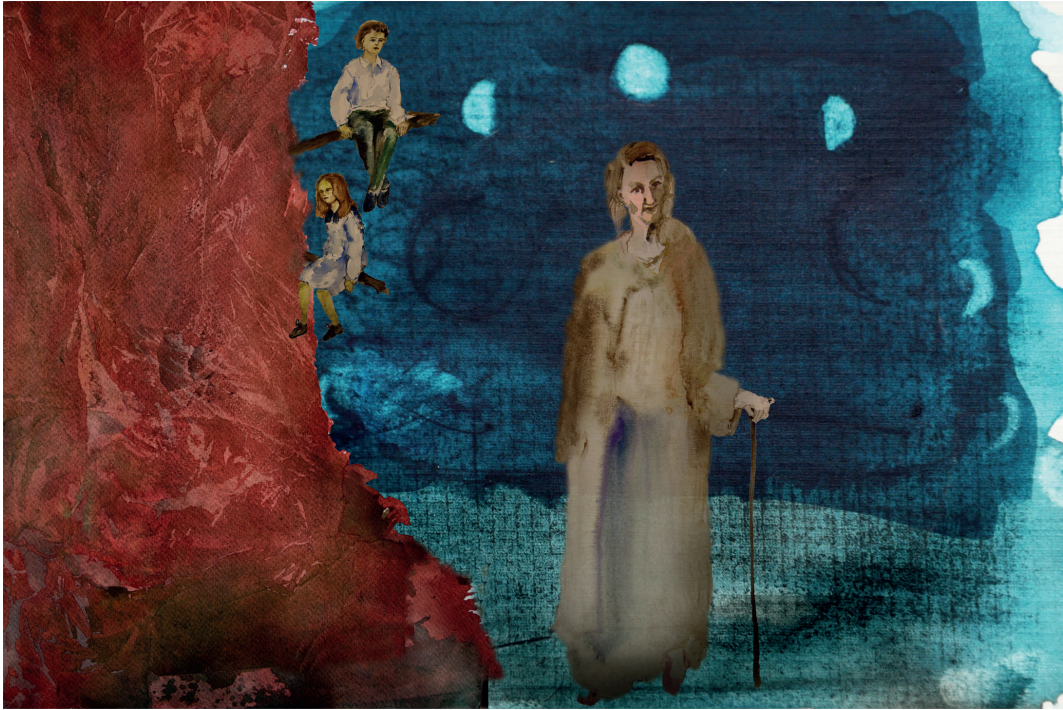
Czas otwierających się oczu na granicy brzasku jest dla Krasnogrudy święty. To moment wieczny, trwający w jej duszy od chwili, gdy po raz pierwszy wyszła z głębi tysiącletniego dębu. Powracała do świata, z którego dawno temu uciekła. Była młodzianką, gdy zimnego serca bogini Niezgoda sprawiła, że Ogród Dzieciństwa, razem z jej domem rodzinnym i całym królestwem marzeń zajął się ogniem. Zanim wszystko, co dla niej najdroższe obróciło się w popiół, udało się jej znaleźć schronienie w dziupli dobrotliwego Senelisa. Przechowała w nim drogie jej sercu drobiazgi i wspominki z królestwa, jak się jej wówczas wydawało na zawsze utraconego. Senelis nauczył ją mowy starowieku, dzięki czemu mogła rozmawiać z roślinami i zwierzętami, wiatrem i ciszą, rosą na ziemi i gwiazdami na niebie. W mowie tej ocalone przez nią pamiątki były *krasne*, bo skrywały piękno połączone z czerwonym zabarwieniem grudek rodzinnej ziemi; były też *grudes* – ziarnami, z których może się odrodzić utracony Ogród Dzieciństwa. W ten sposób została wtajemniczona w ukryte znaczenie własnego imienia – Krasnogruda. Zrozumiała, że w imieniu zapisany jest los każdej żywej istoty.

Odkrywać tajemne znaczenie imion uczyła ją Lajmutie, bogini tkania. Krasnogruda lubiła przychodzić do jej warsztatu i przyłożyć ręce do obrotów wielkich, cichutko terkoczących krosen. Uczyła się tu sztuki splatania nici losu

w harmonijne wzory, a także sztuki uwagi, by nie splątać, a tym bardziej nie zerwać nici, na co tylko czekały Niezgoda i Śmierć. Gdy udało się im zestroić linie i figury losów w piękny wzór, wówczas napełniał się róg obfitości i Lajmutie wysyłała swoją pomocniczkę Skalsę w świat, by z rogu rozsypywała szczęście i bogactwo. I tak światło gwiazd stawało się jaśniejsze, od owoców uginały się sady i jagodniki, sarna omijała śmiertelny potrząsk kłusownika, a włóczęga znajdował gościnę u dobrych ludzi.

Gościnę znalazła też Krasnogruda, uciekinierka z pożogi własnej ojczyzny. Gdyby Senelis nie otworzył przed nią swej dziupli, kto wie, co by się z nią stało. Pewnie przepadałaby gdzieś w ciemnym lesie, głodna i zmarznięta. Powoli w jej sercu, skurczonym przez ból utraty i strach przed nieznanym, zaczęła mościć się wdzięczna pamięć. Wokół niej zaroilo się od dobrożycliwych istot, sprzymierzeńców i opiekunek. To, co boleśnie odczuwała jako osobisty dramat, odbierający jej chęć do życia, okazało się być tajemnym zaproszeniem do innego świata. Przeczuciwała jego istnienie, ale wypierała się swoich myśli, uznając je za mrzonki i bojąc się, że, dając im wiarę, w oczach innych uchodzić będzie za dziecinną. A teraz stanęła na jego progu i przemieniła się w gościnę z nieznanego kraju, z nie słyszanej krainy, jeszcze nie widzianą *wiesznię*, jak w języku starowieku nazywano dziewczynkę przychodzącą na świat z tabliczką losu zapisaną przez skrybów *Xięgi Przeznaczenia*.

Krasnogruda narodziła się na nowo. Ten inny świat zamieszkiwały boginie i bogowie, w których pieczy znajdowała się każda tajemnica przyrody, każdy żywioł kosmosu, każde objawienie życia. Wszystko było ze sobą powiązane i służyło współistnieniu. Nawet ci, którzy podkładali nogi innym i wzniecali kłótnie, byli częścią Drogi Przemiany, po której toczyła się Kula Wieczności. Krasnogruda



zamieszkała w miejscu ze snów wszystkich dzieci świata, w księgach oznaczonym magicznymi inskrypcjami NXN, za którymi skrywało się Niewidzialne Xięstwo Nieswojskie. Tutaj każda dusza, nieznana i nie swoja, przybywająca skądinąd, czuła się jak u siebie w domu. Kraina ta, choć nie było jej na mapach zawieszonych w szkole, nie znajdowała się na innej planecie, ani też nie była obca królestwu dzieciństwa i domu rodzinnego. Było to raczej pogranicze przenikających się światów, splecionych niewidzialnymi powiązaniem. Cała tajemnica skrywała się w sztuce ich współistnienia i w odwadze wyobraźni, otwierającej oczy, a tak naprawdę ukryte w nas od urodzenia trzecie oko, które nie jest ślepe na niewidzialne.

Senelis i Lajmutie z dumą ogłosili mieszkańcom Niewidzialnego Xięstwa Nieswojskiego nowinę o dopiero co objawionej bogini w ich rodzinnym panteonie. Mając na uwadze wszystko to, co dotychczas przydarzyło się jej w życiu, a zwłaszcza utratę Ogrodu Dzieciństwa i przyjęcie daru gościnności, nazwano ją Piastunką Dobrej Pamięci. W Dolinie Issy już od bardzo dawna jej wyczekiwano. Krasnogruda przybyła do nich w momencie, gdy rosła w siłę potęga Niezgody, a także będących na jej usługach złoczynnych duchów Welniasa i Ragany oraz całej armii złośliwych skrzatowatych Kaukaików, wszędzie wprowadzających podziały, skrycie burzących mosty i siejących lęk przed innymi. Wszyscy dobrze rozumieli, że nie było przypadku w pojawieniu się w ich Xięstwie tej obcej dziewczyny, szukającej schronienia przed Niezgodą. Wielka radość zasiała się w ich sercach. Zdążyli już ją pokochać, a teraz wyjawione im zostało jej drugie imię, tak silnie związane z losem uciekinierki i uwalniające moc na ścieżce wdzięczności, jedynej takiej pod słońcem. Doskonale zdawali sobie sprawę, że świat wokół nich niebezpiecznie się zmienia i na gwałt potrzebuje Piastunki Dobrej Pamięci.

Lajmutie razem z Wajwą, boginią tęczy, zaczęły splatać magiczny naszyjnik dla Krasnogrudy, prosząc innych mieszkańców Xięstwa o nanizywanie na niego własnych paciorków. Każdy taki paciorek, stworzony w ich osobnych warsztatach, nabierał dodatkowej mocy, gdy tylko połączył się z innymi, stając się niezbywalnym ogniwem naszyjnika, nie do podrobienia przez kogokolwiek innego. Każdy też pragnął ofiarować jej cząstkę swojej wiedzy. Nigdy wcześniej nie widziano naszyjnika tęczującego takim bogactwem barw. Kiedy ostatecznie Lajmutie zawiesiła go na szyi Krasnogrudy, dla wszystkich stało się jasne, że taki właśnie będzie jej warsztat pracy, łączący osobne w całość, poszukujący tajemnic spoiwa i doskonalący sztukę współistnienia.

Gdy tylko Piastunka Dobrej Pamięci zgłębiła tajniki paciorków i potrafiła już układać je w harmonijne konstelacje, Senelis i Lajmutie oznajmili jej, że nadeszła pora, aby powróciła do świata swojego dzieciństwa i pracowała nad jego odrodzeniem. Zapewnili ją też, że może liczyć na pomoc innych mieszkańców Niewidzialnego Xięstwa Nieswojskiego. Nie było dnia, żeby Krasnogruda nie miała szansy przekonać się o tym, z wdzięcznością obserwując jak pracowicie i bez wytchnienia jej nowi przyjaciele nanizują na naszyjnik wciąż nowe, albo dopiero co odnalezione, albo też wydobyte z zapomnienia paciorki. Ich ilość wydawała się nieskończona, tak jak niewyczerpana była Studnia Pamięci, z której im więcej czerpano, tym była głębsza i pełniejsza. A ponieważ pośród mieszkańców Xięstwa dobrą sławą cieszyła się opowieść księżniczki Szeherezady z Dadabagu, nie mająca – jak powszechnie się pocieszano – końca, postanowiono, że tęczujący niezliczonymi paciorkami klejnot Krasnogrudy nosił będzie imię Naszyjnika Tysiąca i Jednej Mocy.

Selenis i Lajmutie robili wszystko, aby Krasnogruda jak najlepiej poznała Niewidzialne Xięstwo Nieswojskie. Z ich pomocą podróżowała do najdalszych jego

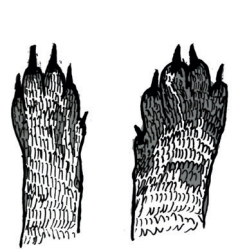
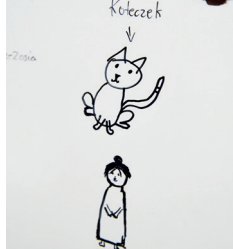
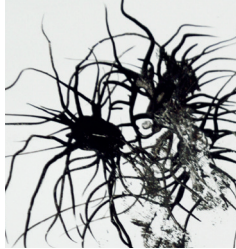
zakątków, w głąb fantastycznych, zapierających dech w piersiach krain. Przy okazji tych wędrówek, dowiadywała się o przeróżnych sztukach, którymi parali się mieszkańcy Xięstwa. Mogła też próbować swych sił w rozmaitych warsztatach rzemiosł, czytać o nich książki. Ponieważ każdy chętnie dzielił się z nią pięknem swojej pracy i obdarzał książkami wysławiającymi jej mistrzostwo, wkrótce nazbierała ich całą bibliotekę. Nauczona doświadczeniem z poprzedniego życia sądziła, że jej opiekunowie oczekują od niej dokonania wyboru znanej już dziedziny zainteresowań, tajniki której najbardziej pragnęłaby zgłębiać, poświęcając im całe swoje życie.

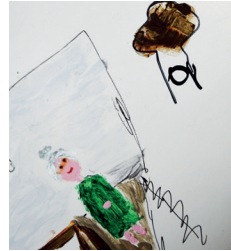
Tymczasem Senelis i Lajmutie myśleli inaczej. Dla nich Krasnogruda była dotychczas nie widzianą w Xięstwie, przybyłą z innego kraju, która przekroczyła granice światów i przyjęła dar gościnności. Być może gdzie indziej fakt jej obcości należałoby ukryć w obawie przed stróżami swojskości, ale tutaj był on prawdziwym skarbem. Niepostrzeżenie i bez zbędnego gadania pomagali Krasnogrudzie odnaleźć własną ścieżkę, prowadzącą do tajemnicy jej serca. Gdy wreszcie do niej dotarła, odkryła, że jest nią wdzięczna pamięć. Było to dla niej zupełne zaskoczenie. Mimo, że przecież wiedziała, iż narodziła się ona w jej sercu, to jednak w jakiś sposób o tej pamięci zapomniała, nie doceniała jej, a może lękała się, że stanie się ona dla niej zbyt ciężarem. Teraz zrozumiała, że przyjęcie daru gościnności zrodziło w jej sercu nowe uczucie, niemal zmysł podobny widzeniu albo dotykaniu, dzięki któremu nieznośna stawała się obojętność zapominania.

Pośród mieszkańców Xięstwa, którzy wcześniej nie doświadczyli obcowania z inną, Krasnogruda stawała się nosicielką wdzięcznej pamięci i czuła, że tutaj potrzebują jej właśnie takiej. Wrodzony lęk o to, kim tak naprawdę jest, teraz został uśmierzony przez odkrycie, że jej obcość nie jest niczym złym. Wręcz

przeciwnie, wszyscy czuli się bogatsi o jej niepowtarzalność i wyjątkowość. Mądrość Senelisa i Lajmutie od początku prowadziła ją ku prawdzie serca, dzięki której najbardziej pozostanie sobą.

I tak oto narodziła się Piastunka Dobrej Pamięci, bogini o wielkiej świetlnej mocy, najpotężniejsza rywalka Niezgody. Jej bliskości i pomocy wypatrują wszystkie istoty żyjące na pograniczach światów, zagrożone brakiem gościnności, a także lękiem przed prawdą o sobie, który tak łatwo przeradza się w lęk przed innymi.





Ilustracje:
Wiesław Szumiński

Rysunki dziecięce:
**Zofia Kondzielewska, Urszula Korzeniecka, Hanna Makowska, Iza Maksimowicz,
Lena Wiśniewska, Julia Zdancewicz, Maciej Faszczeński, Patryk Jankowski,
Igor Nieszczereński, Miłosz Ramel**

Skład i łamanie:
Anita Szejder



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sejneńska Księga Baśni zrealizowana w ramach programu Edukacja Kulturalna 2021
ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Zadanie w całości zrealizowane ze środków finansowych MKDNIŚ z dotacji w kwocie 71 000,00 zł.



Program zrealizowany przez Fundację Pogranicze w partnerstwie
z Ośrodkiem „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach – instytucją współprowadzoną
przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP, Instytucją Kultury Województwa Podlaskiego.